

Anatol Krakowiecki



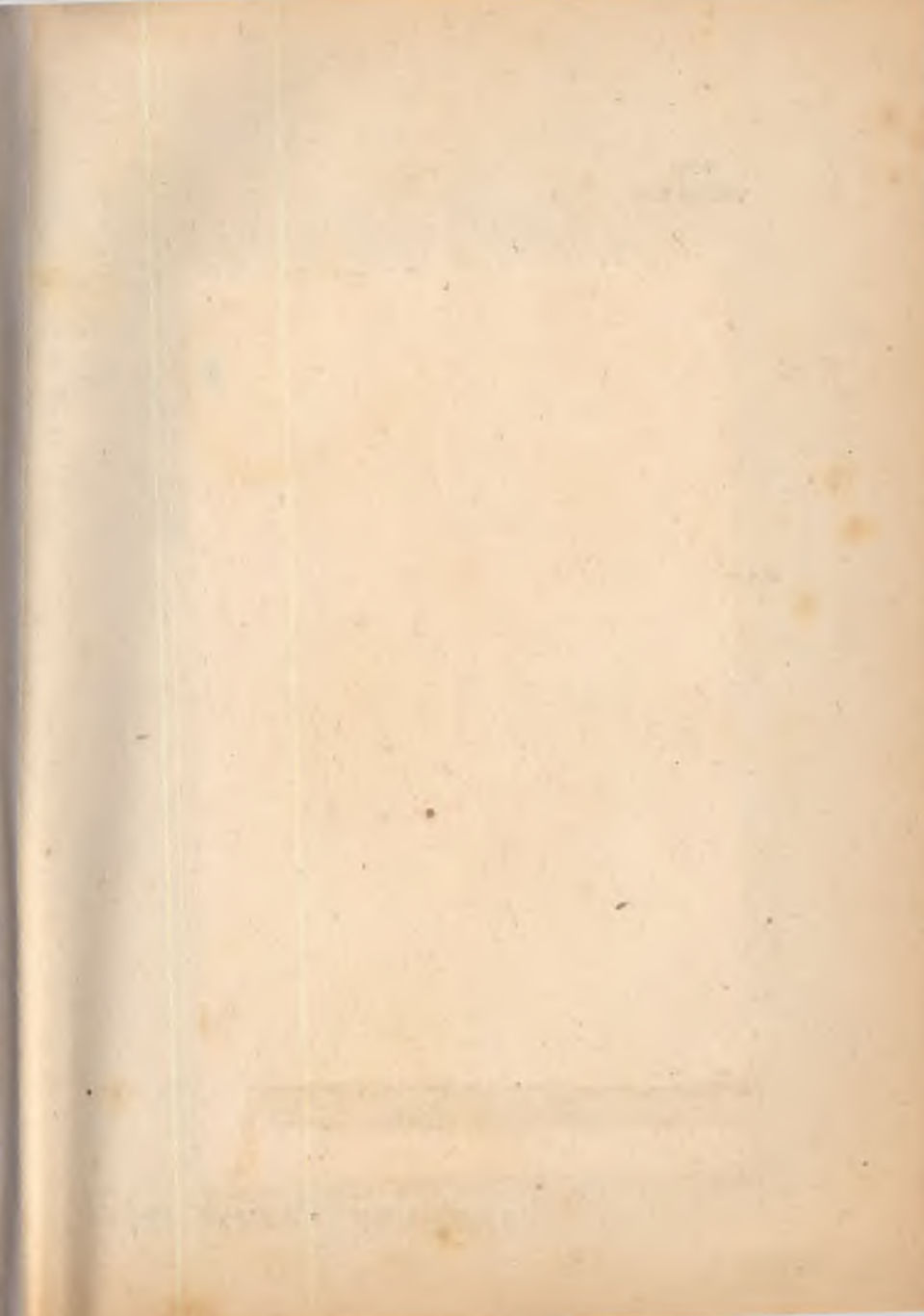
BAJKI BIAŁO-CZERWONE

wydawnictwo w drodze
jeruzolima

A RETOURNER

Lib. Cauvet, Arras

16 MAI 1974		
25 JUIN 1974		
12 SEP. 1974		
10 OCT. 1974		
21 NOV. 1974		
25 AVR. 1975		
23 MAI 1975		
10 OCT. 1975		
12 FEV. 1976		
11 MARS 1976		
17 NOV. 1976		
08 NOV. 1978		



ANATOL KRAKOWIECKI



BAJKI BIAŁO-CZERWONE

JEROZOLIMA

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“

ilustrował
ZYGMUNT KOWALEWSKI

DZIECIOM

*w Iranie,
w Indiach,
w Afryce,
w Palestynie,
poświęca*

WUJ ANATOL

DO STARSZYCH.

To nie dla was są te, pisane na marginesie rzeczywistości bajki biało-czerwone, ludzie starsi. Nie bierzcie nawet tej książeczki do rąk, albowiem nie powie ona wam nic nowego. Wszystko to znacie, pamiętacie, macie w sercach, w żrenicach, w spracowanych dłoniach i w strudzonej, tułaczej duszy.

Jest jednakże wielka, olbrzymia gromada dzieci, którą otacza świat zupełnie inny, niż był nim świat naszego dzieciństwa. Dla nich to, dla dzieci, napisałem tę skromniutką i małą biało-czerwoną książeczkę.

AUTOR.



X. Karjalainen.

O B O Ż Y M D R Z E W K U

MAŁA Basia ma ciemne włosy i jasne, niebieskie oczy. O takich właśnie oczach mówić się zwykło: niebieskie migdały. A więc te dwa Basine niebieskie migdały patrzą na mnie,

I Basia mi mówi :

— Proszę mi opowiedzieć bajkę o Polsce!

Ja jestem siwy i stary, Basia jest młodziutka. Ja prawie całe swoje życie przeżyłem w Polsce, Basia nie pamięta Polski zupełnie. Jakżeż zaskoczyło mnie jej żądanie. Nie wiedziałem, co na nie odpowiedzieć. Bo niełatwo. Przeto rzekłem :

— Nie pojmuję, Basiu, czego żądasz ode mnie. W Polsce dzieci prosiły abym opowiadał im bajki arabskie. I ja takie prośby rozumiałem. A ty żądasz bajki o Polsce!

— Ach, mówi Basia — i ty nie umiesz mi opowiedzieć. Tylu starszych ludzi prosiłam i panów i panie i nikt nie umiał...

— Może jednak spróbowałbym.

— Spróbuj, proszę cię.

Musiałem chwilę pomyśleć. I zacząłem:

— Widzisz, Basiu, jeśli ci ktoś powie, że Polska jest krajem mlekiem i miodem płynącym, to mu wierz. Ale gdyby ci powiedział, że można mleko i miód mieć bez pracy, to mu nie wierz.

I znów myślałem, co dalej powiedzieć małej.

— W chwili obecnej w Polsce upadł śnieg. Leży na polach, a drzewa wyglądają, jakby stały w czapkach z waty. Rankiem na szyby wpełzają srebrne kwiaty; jeśli przyłożysz paluszek do szyby, kwiat w tym miejscu roztaje i robi się dziureczka. A potem zaczynasz chuchać. I na szybach wśród kwiatów, powstaje okienko. Okienko w okienku powstaje, a kilka kropel spływa zwolna w dół, aż osiadzie na ramie okiennej. A ty patrzysz przez okienko w okienku na świat, który jest biały, i na drzewa, które wyglądają, jakby stały w czapkach z waty.

— Ach, to jest bardzo piękne.

— To jest naprawdę piękne, Basiu. Ale ty patrzysz w okienko i widzisz, że na podwórze i na ulicę wychodzą ludzie z łopatami i zgarniają nimi śnieg. Łopaty są duże, olbrzymie, drewniane.

— Szkoda, szkoda śniegu. Po co ludzie zgarniają śnieg?

— Bo śnieg utrudnia życie, utrudnia innym ludziom pracę. Wobec tego jedni ludzie, zgarniając śnieg drewnianymi łopatami — pracują, aby inni mogli również pracować. Lecz oto w drzwiach twojego mieszkania rozlega się dzwonek. To kobieta wiejska przynosi mleko. Brnęła kilka kilometrów w śniegu po kolana; na głowie ma chustę, a na chuście ten sam szron, jaki widziałas na szybie. Szron nie przeszkadza tej kobiecie pracować, a pracować ona musi, pracować po to, abyś ty miała mleko na śniadanie i na podwieczorek.

— Rozumiem.

— Zaś w pokoju waszym stoi choinka. Jest gwiazda na górze i włosy anielskie i świeczki i owoce i cukierki i orzechy w złocistych papierkach.

— Jakże i to jest piękne!

— Tak, dziecko. Ale uważaj; ktoś iść musiał do lasu i po pas grzęznął w śniegu. Wielka to radość dla ciebie, drzewko na Boże Narodzenie. Jednakże — powtarzam — ktoś poszedł do lasu, ktoś ściął siekierą drzewko. A więc pracował. Potem drzewko jechało do miasta. Ktoś (może to ten sam człowiek, może ktoś inny) musiał załadować drzewko na sanki. Czyli: pracował. Potem ktoś poganiał koniki, które wiozły drzewko. Czyli: pracował. Potem przyniósł drzewko do pokoju i nasadził na krzyż. I znów: pracował. Pracowali ludzie, aby ci było pięknie i abyś się mogła wzruszać.

— To dobrzy ludzie, którzy pracowali.

— Słyszałaś pewnie, w Polsce w okresie świąt

Bożego Narodzenia chodzą chłopcy, noszą jasno oświetloną szopkę i śpiewają kolędy?

— Ja też umiem kolędy.

— Zanim jednak przyszedli do ciebie, chłopcy ci tygodniami całymi kleili tę kolorową szopkę. Na-przód była tylko deseczka. Potem w niej wyświ-drowano dziurki i w dziurki włożono patyczki. Potem oblepiono to rusztowanie papierem o najwspanialszych barwach. Wyrosły dwie wieże. A między nimi za-wisnął złoty łańcuch, skleiony z papierowych ogni-w. I wlepiono Matkę Boską i świętego Józefa i żłóbek i Dzieciątko i pasterzy i wółka i osiołka. Doprawdy, chłopcy dość się napracowali, zanim przyszedli, aby zaśpiewać ci kolędy.

— Jakżeż pięknie oni pracowali!

— W pokoju jest stół, nakryty białym obrusem. Wszyscy siadają dookoła i wszyscy są wzruszeni. Ale — uważaj — stół ktoś musiał zrobić, obrus utkać, potrawy wigilijne uwarzyć. Zauważ, ile pracy. Ojciec bierze do rąk bielutki opłatek, łamie go i składa życzenia wszystkim. Jednak opłatek nie spadł przecież sam z nieba. To jakiś człowiek wziął garść białej mąki, rozmiesił rzadkie ciasto i wylał je na rozpaloną formę.

— I tak wszystko, wszystko dookoła?

— Wszystko, Basiuniu. Następnie kto żyje w domu, rozpoczyna śpiewać kolędy. Kiedyś, lata temu całe, całe wieki, do kolędy ktoś musiał napisać słowa, napisać muzykę. Choćby nawet nie było wiadomym, kto napisał, kto zrobił, to jednak ktoś musiał zrobić,

bo inaczej przecież kolędy by nie było. I oto masz znów: pracę.

— Ach, ja muszę nad tym pomyśleć.

— Pomyśl, a jeśli ktoś ci powie, że w Polsce jest bardzo pięknie to mu wierz, bo to prawda. Jeśli ci powie, że Polska jest krajem mlekiem i miodem płynącym, to mu wierz, bo i to prawdziwa prawda. Ale gdyby ci ktoś powiedział, że piękno, że miód i mleko można mieć bez pracy, to mu nie wierz. Albowiem to jest nieprawdą.



332
K. Kavalasankar

BAJKA O PORACH ROKU

RÓŻNE są bajki, najpiękniejsze na świecie. Są bajki arabskie, są bajki skandynawskie i jest „Alicja w krainie czarów“, czyli bajki angielskie. Jak wszystko dookoła, tak przede wszystkim bajki mają swoją melodię, zapach i barwę. Bajki arabskie są złote i zielone, bo zieloną jest chorągiew Proroka. Bajki skandynawskie są srebrne i błękitne bo błękitne są tonie mórz, które oblewają Skandynawię. Bajki angielskie są seledynowe, bo to jest kolor angielskich łąk i żółte, bo to jest kolor angielskich miast. Ja ci, Basiu, opowiadać będę bajki białe czerwone. Bo kolor biały i czerwony jest najbliższy sercu Polaka.

— Czy nie mógłbyś mi opowiedzieć o zimie?

— Nie tylko chcę ci opowiedzieć o zimie, ale chcę ci opowiedzieć bajkę o porach roku. Są

w Polsce cztery pory roku, tak od siebie odrębne tak wyraźnie rozgraniczone, jak cztery tomy powieści, z których każdy osobno jest oprawiony w białoczerwone płótno. Istnieje zresztą taka powieść o polskich porach roku. Napisał ją Władysław St. Reymont a tytuł jej brzmi: „Chłopi“. Powieść dzieli się na tomy: Jesień, Zima, Wiosna, Lato.

— Dlaczego nie zaczyna się od wiosny? Przecież wszystko zaczyna się od wiosny?

— Najwięcej o porach roku wie, najbliżej z nimi żyje polska wieś. A wieś zaczyna rok w jesieni. Jesień kończy rok, jesień rok zaczyna. W jesieni zboża są zżęte i na ścierniskach rośnie koniczyna. Potem zbiera się potraw, potem wykopuje się kartofle. Zboże zwiezione jest do stodół, które zaczynają rozbrzmiewać głuchymi uderzeniami cepów, ziemniaki złożone są w kopcach, owoce pochowane w sąsiadkach. Tak się zakończył rok. A oto idą na ścierniska pługi. Pługi odwalają czarne skiby zagonów. Ziarno rzucone w te skiby wypuści pędy i zazieleni się. To już się zaczął nowy rok na wsi. Potem przyjdzie zima i spadnie śnieg. Nakryje wszystkie pola, zasypie wszystkie dachy, zawiśnie na gałęziach drzew. Bocianie gniazdo na topoli ubierze na siebie biały kołpak. Świerki stoją wysmukłe i wyniosłe, jak białe cyprysy. Lipy są rosochate i przyprószone siwizną. Świat jest czysty, lśniący, promienisty, odziany w oponię z miliardów tęcz.

— A ludzie odpoczywają?

— Nie, ludzie nie odpoczywają. Jesień miała swoje prace, ma swoje prace zima. Po zagrodach,

po domach ludzie mają pełne ręce roboty, choć jej na zewnątrz nie widać. Zima jest właśnie porą roku, w której najmniej widać na zewnątrz ludzką pracę.

— A potem przychodzi wiosna? Och, zima jest bardzo piękna, ale ja proszę, żeby prędyutko przyszła wiosna.

— Poczekaj, Basiu. Zima się kończy, dogorywa, taje. Wówczas zaczyna się przedwiośnie. Jest to okres dokuczliwy, smętny, zalany deszczem, spozierający w niebo oczyma kałuż, zawalany grząskim błotem. Ale słońce pracuje już, jak szalone. Spływają kałuże i wody, rzeki wzbierają, błoto wysycha. I już nie widać, że ziemia jest czarna. Bo ziemia zaczyna być zielona tak bardzo, że trudno sobie wyobrazić. I wyrastają kwiaty. Jeszcze wśród śniegu wyrosły w dolinach śnieżyczki, a w górach sasanki. Teraz kwiatów jest tyle, że ziemia wygląda, jak raj.

— Bardzo się cieszę z tego powodu.

— Przejechałaś, Basiu, tysiącami kilometrów przez różne kraje. Widziałaś przepiękne ogrody i wspaniałe drzewa. Ale widziałaś również na przestrzeniach setek kilometrów pustynie i pustynie, kamieniste pola i gołe skaliste góry. Czy wiesz, że w całej Polsce jest tylko jedna pustynia? Nazywa się „pustynia błędowska“ i jest komiczną miniaturą pustyni. Ot, po prostu kilka kilometrów kwadratowych piasków, a dookoła sosnowy las. Mówią, że na pustyni błędowskiej zdarzają się miraże i fata morgany. Być może, — ja tego nie widziałem — i tylko z wyjątkiem tego skraweczka ziemi, cała Polska, jak długa i szeroka, jest zielona.

— A góry?

— I góry też. Po zboczach gór pną się świerki, modrzewie, limby, kosodrzewiny i paprocie. Tylko na najwyższych szczytach leży ciągle śnieg.

— A wszystko się dzieje po to, żeby było pięknie?

— Nie tylko po to, Basiu. Na przykład trawy rosną wysoko, ale potem skosi się je, wysuszy i z tego powstanie siano, pożywienie dla zwierząt domowych.

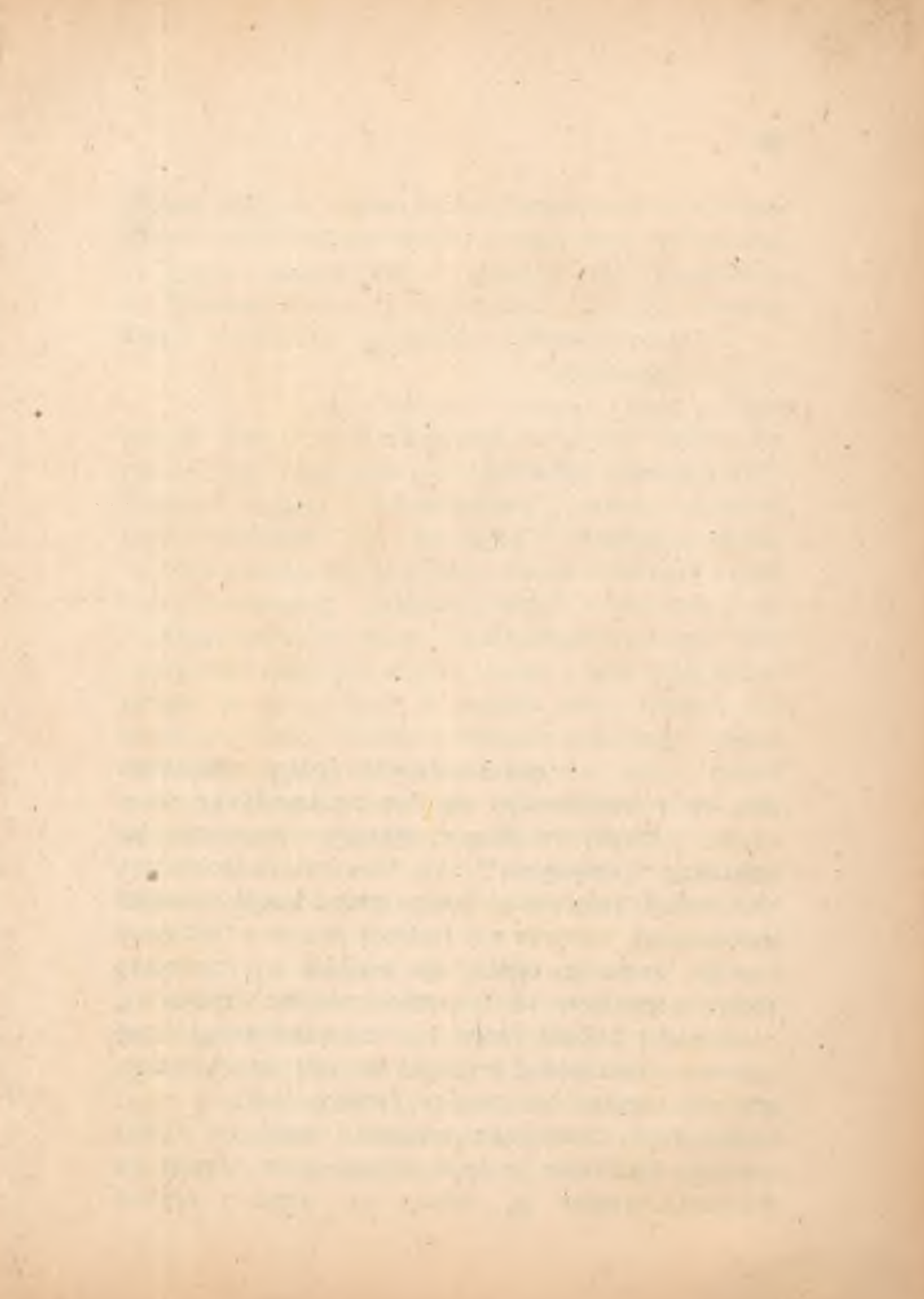
— Ale przecież kwiaty? Kwiaty tylko kwitną i są tylko piękne?

— Kwiaty nie kwitną pięknem samolubnym. Rój pszczół unosi się nad nimi i zbiera miód, a potem niesie ten miód do ula i układa w plastrze wosku. Wszystko kwitnie, wszystko rośnie, wszystko się zieleni. Trwa radość w przyrodzie. A potem przychodzi lato. I znów, zanim nadejdzie prawdziwe lato, jest okres przejściowy. Robi się jakoś chłodno, to są tak zwani „zimni święci“. Potem zaczynają padać deszcze i strugi wody leją się wprost z nieba. Rzeki wzbierają i wylewają. To następuje okres powodzi zwanej Świętojańską. Trzeba umyć z łąk z kopami siana, aby nie zamokło i aby nie zaczęło gnić. I dopiero potem przychodzi lato. A lato jest już mniej zielone, a więcej żółte.

— Dlaczego?

— Żyto, pszenica i jęczmień, nie są już więcej zielone. Żółcieją pomalutku i to jest oznaką, że dojrzewają. Na nizinach — jak okiem sięgnąć — kołyszą się żółte łany. Z rzadka biegnie tylko zielona wstążka — to miedza. Jeszcze rzadziej biegnie wstęga

szersza i biała. To droga. W sadach rumienia się jabłka, czerwienieją grusze, zaczynają czernieć śliwy. Na pola wychodzą żniwiarze, rosną sterty zbóż. A kiedy kończy zrywać się owoce, jest już jesień. Cicho jest na polach i przestrono i swobodnie. Przez powietrze idą jakieś śpiewy i powiewy. Na miedzy zapłonie ognisko, na ściernisku błądzi dzwonek. To wypasa się bydło domowe, tłuste, dostatnie, o sierści lśniącej jak aksamit. Białe woale pajęczyn płyną ponad ścierni, ponad łąki, ponad gaj. Te pajęczyny nazywają się: „babie lato“. Przyroda się spracowała. Obrodziła bogato, obficie i szczerze. Przygotowuje się do odpoczynku i do snu zimowego. Wtedy kończy się rok.





O SYPANIU OWSEM, O TURONIUM I O ŚMIGUSIE

SMIESZNE, Basiu, piękne i bardzo barwne są zwyczaje ludowe. Opowiem ci kiedyś, później, o Lajkoniku czyli koniku zwierzyńieckim, o Rękawce i o Emausie. Są to zwyczaje ludu miejskiego. Są również zwyczajowe gody, na które dąży lud z miasta i okolicy. Dnia 4. marca każdego roku odbywają się takie gody ludu wiejskiego z miejskim w przepięknym Wilnie, dokąd ciągną tłumy ludzi, aby wziąć w nich udział. Opowiem ci może kiedyś o nocy świętojańskiej, czyli o kwiecie paproci, o babim lecie i o wigilii św. Andrzeja, czyli o przepowiedniach z wosku. W tej chwili, zaraz po Bożym Drzewku, chciałbym ci, o wyniosła Barbaro, opo-

wiedzieć o takich nadzwyczaj śmiesznych zwyczajach, które nie są ani ważne, ani uroczyste, są tylko bardzo wesołe, bardzo śmieszne i mają w sobie dużo, dużo ruchu, krzyku wrzawy i radości.

— Cóż to takiego może być?

— Czy słyszałaś coś o zwyczaju sypania owsem?

Basia skinęła główką w tę i tamtą stronę, na-dąsała buzię i rzekła niechętnie:

— Nie, nie słyszałam.

Zdziwiłem się, albowiem jakoś nie mogło powstać w mojej głowie, w mojej starej głowie, ażeby ktoś nie słyszał o sypaniu owsem, choćby nawet ten ktoś był tak mały i miał tak niewiele lat, jak Basia. Więc postanowiłem natychmiast zaradzić tej niewiedzy.

— W pokoju stoi Boże Drzewko. Wieczorami płoną na nim kolorowe świeczki i tryskają iskry z płomieni bengalskich. Stół wigilijny już rozebrany, bo przecież wigilia już się odbyła. Zdjęto obrus, a siano spod obrusa zaniesiono do obory i do stajni, aby skosztowały je konie i krowy — będą przez to chować się piękniej. Po zjedzeniu tego siana i konie i krowy będą rozmawiać ze sobą w czasie nocy wigilijnej. Tymczasem ludzie pójdą na pasterkę i wrócą z niej i zasną, a potem obudzą się i zaczną w dalszym ciągu obdarzać się opłatkiem, ludzie przychodzą do ludzi, składają sobie nawzajem życzenia i śpiewają kolędy. Tak mija dzień Bożego Narodzenia, Następny dzień po Bożym Narodzeniu — to dzień Świętego Szczepana. I wtedy właśnie rozgrywają się bardzo zabawne sceny. Mianowicie na wsiach dziew-

częta i chłopaki, starzy ludzie i młodszy rzucają na siebie owsem. Ile śmiechu, ile krzyku, uciekania, gonitwy. Również w mieście jest tak samo wesoło, ale nie rzuca się tam owsem, tylko konfettami.

— Co to są konfetty?

— Są to takie małe, wielokolorowe papierki, okrągłutkie i sypkie, ogromnie barwne. Rzuca się garść takich papierków na włosy, na twarz, na ubranie. I wiesz, co masz? Oto człowiek, który był szary i bezbarwny, staje się nagle człowiekiem tak bardzo kolorowym, jak tylko można...

— Basia aż klasnęła w ręczki.

— Jakbym ja to chciała widzieć! — zawołała.

— Zobaczysz, na pewno zobaczysz.

Tak odpowiedziałem, albowiem naprawdę wierzę w to, że Basia zobaczy. I mówiłem dalej:

— Potem zaś po domach chodzi turoń.

— Cóż to znowu takiego?

— Zdziwiająca rzecz! I o turoniu Basia nic nie wie! Czym prędzej więc mówię jej, rozkładając rękoma, pokazując gestami, aby słowa moje były wymowniejsze. Basia patrzy na moje ręce tak, jakby naprawdę potrafiły one wyrzeźbić w powietrzu kształty, a których opowiadam.

— Przebierają się, mówię, chłopcy w najróżniejsze cudaczne kostiumy. Jest Herod, jest żyd z brodą, krakowiak, góral, jest harmonia, są skrzypeczki, ale to wszystko jest mniej ważne. Najważniejszy jest sam turoń.

— Więc co to jest, ten turoń?

— To jest bardzo dziwne stworzenie. Ma pysk kozła, pysk drewniany. Porusza szczęką i przemawia do ludzi. Nawet śpiewa przyśpiewki. Na szyi ma dzwoneczek, podzwania nim i postukując kijaszkiem tańczy dookoła. Na grzbiecie ma skórę.

— Dlaczego postukuje kijaszkiem?

— Dlatego, że głowa turońia jest drewniana i umieszczona na kiju. A pod skórą siedzi człowiek, który rusza szczęką i przytupuje kijaszkiem, a wtedy dzwonek dzwoni. Harmonia gra, skrzypce grają, Góral tańczy, Krakowiak również, piosenki śpiewają przezabawne. Ludzie tak bardzo się radują, że turoń chodzi od domu do domu, wszędzie witany z przyjemnością. Czy mniejwięcej potrafisz sobie to już wyobrazić?

— Ach, oczywiście, potrafię to sobie wyobrazić.

— A więc „potraf“ to sobie wyobrazić, a ja zacznę mówić o innych obyczajach. To jeszcze zabawniejszy obyczaj, od tych, o których ci opowiadałem. Nazywa się to śmigus, a w niektórych okolicach dyngus. Nie dzieje się to już w okresie Bożego Narodzenia i karnawału. Już wtedy nie tylko karnawał minie, ale przejdzie Wielki Post i zakończy się Zmartwychwstaniem. Nastąpi Poniedziałek Wielkanocny, czyli drugi dzień świąt i wtedy od samego rana, od świtu, dzieją się rzeczy straszne.

— Nie mów, boję się.

— Nie bój, się, Basiuniu, te straszne rzeczy wcale nie są takie straszne, one są nawet bardzo wesołe. Mianowicie ten cały śmigus, ten cały dyngus! Po prostu ludzie oblewają się wodą.

— Jakto?

— Tak, jak ci mówię. Nabiera się do dzbanuszka albo do szklanki, albo do garnuszka wody i — chlust na człowieka! Na twarz, na ubranie, za kołnierz a zwłaszcza za kołnierz, to specjalnie jest wesoło. Na wsiach całymi konewkami leją się nawzajem. Chłopcy wylapują dziewczęta, dziewczęta zaczajają się na chłopców. I starsi również nie uchodzą cało, a raczej nie uchodzą sucho w tej zabawie. W miastach robi się to delikatniej, są tam tacy nad wyraz elegancyjcy ludzie, którzy noszą buteleczki z wodą kolońską. Najbardziej niebezpieczne są jednakże dzieci, zwłaszcza te, które lubią długo spać i których dobudzić się nie można.

Basia ma pod tym względem, najwidoczniej, niejaki wyrzuty sumienia, bo otwiera szeroko oczy i patrzy na mnie zalekniona.

— Co z takimi dziećmi się robi?

— Nalewa im się wody do łóżka, opryskuje twarze.

Odetchnęła z ulgą Basia i stwierdziła z nieukrywanym zadowoleniem:

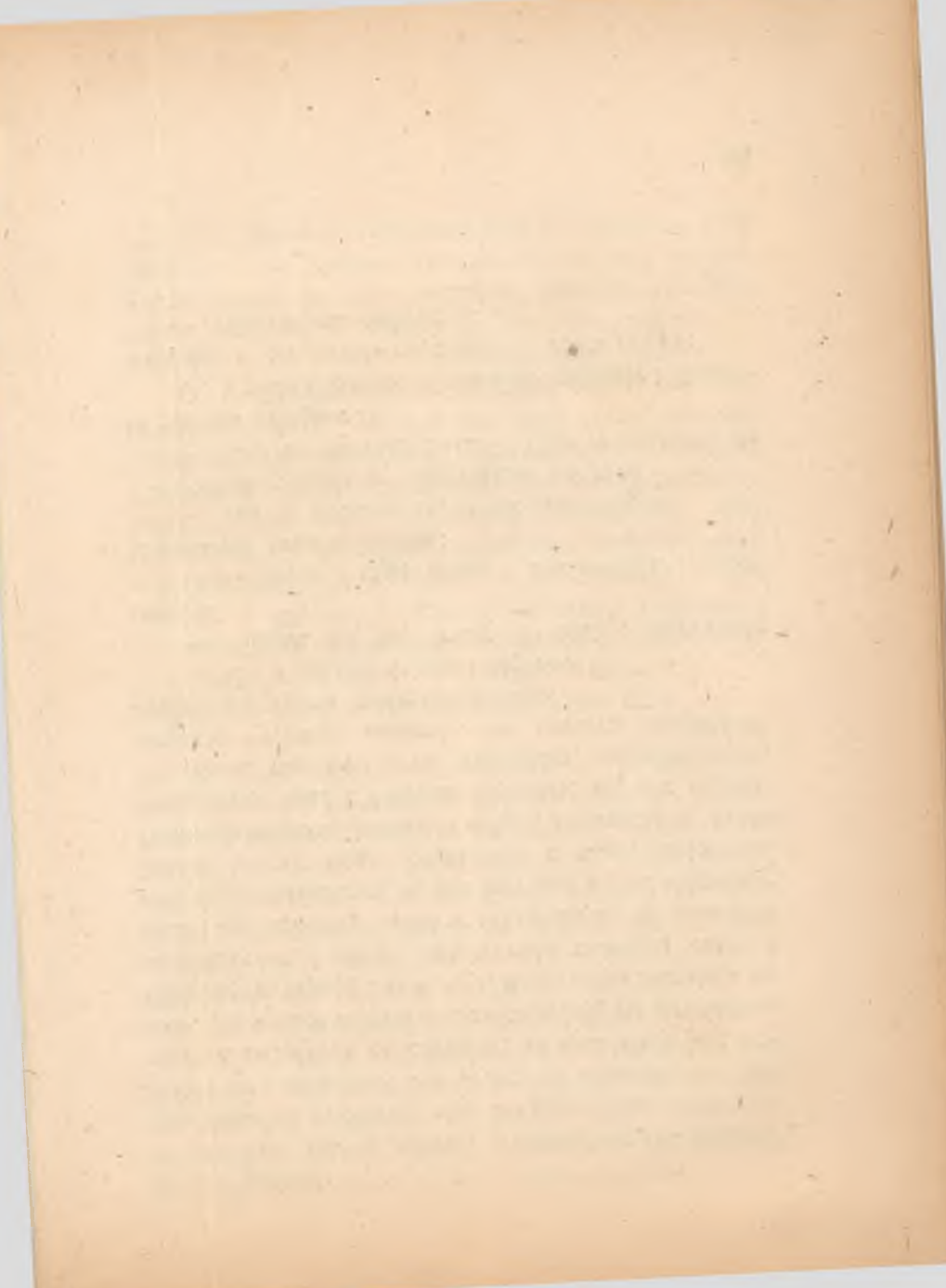
— Jak to dobrze, że tu nie ma śmigusu...

Podchwyciłem to. Zapytałem od razu:

— Czy to dobrze, Basiu? Czy to dobrze, że tu nie ma śmigusu?

O, wy dwa Basine niebieskie migdały! Zakrywają się w tej chwili rzesami. A Basia mówi:

— Nie, to nie dobrze ...





By Karmalinski.



O ZAWIĄZANYCH SERCACH DZWONÓW.

CZY wiesz, Basiu jaki był największy dzwon w Polsce?

— Dzwon Zygmunta.

— Tak jest, w dużej wieży katedry wawelskiej w Krakowie, wisiał największy w Polsce dzwon, dzwon Zygmunta. Nosił tę nazwę dlatego, że rozkazał go ułać król Zygmunt. Dzwon był tak wielki, że nie mógł dzwonić weń jeden człowiek — kilku ludzi musiało ciężko pracować, ażeby dzwon się poruszył i wydał dźwięk. Dzwonił ten dzwon przez kilka wieków przy różnych uroczystościach, ale tylko przy tych największych. A więc: kiedy króla obrano i kiedy go koronowano. A więc: kiedy król umarł, kiedy odniesiono zwycięstwo pod Wiedniem, kiedy wypędzono Szwedów z Polski. A potem po długiej niewoli zadzwonił znów, kiedy Polska po-

wstała na nowo i znów dzwonił przy najważniejszych, największych, najświętszych uroczystościach. Nie tylko uroczystości kościelne, ale i święta narodu odzwaniał Zygmunt. Był to najbardziej narodowy ze wszystkich dzwonów. Dzisiaj ten dzwon nie istnieje: ukradli go Niemcy.

— Ach!

— Umyślnie ci to mówię Basiu, ponieważ chciałbym, abyś to na zawsze pamiętała. Dzwon Zygmunta ukradli Niemcy!

— A dlaczego powiedziałeś, że będziesz mi opowiadał o zawiązanych sercach dzwonów? Czy dzwony naprawdę mają serca?

— Każda pierś człowiecza jest, jakby dzwon, w każdej człowieczej piersi bije serce. Tak samo i dzwon posiada serce, które tworzy dźwięk. A zawiązane serca dzwonów? Zaraz ci opowiem. Minie styczeń, biały i mroźny i nadejdzie luty. Drugiego lutego, w dzień Matki Boskiej Gromniczej, lud idzie do kościoła i święci żółte świece. Nazywają się one gromnicami, a zapala się je tylko wtedy, kiedy w domu umiera ktoś bliski. Ale miesiąc styczeń i miesiąc luty — to karnawał. Tylko raz jeden w ciągu karnawału myśli się o śmierci i to właśnie przy święceniu świec. Karnawał jest okresem, kiedy ludzie bawią się, śpiewają i tańczą.

Ponieważ w zimie odpoczywa przyroda, przeto ludzie, którzy są częścią przyrody, mają również prawo do odpoczynku.

— I to się nazywa karnawałem?

— Tak jest. Kiedy zaś przychodzą ostatnie dni

karnawału, odbywają się w Polsce zapusty. Najweselejsze zabawy, najgłośniejsze śpiewy, najbardziej zamaszyste tańce, najlepsze jedzenie. Dni zapustne, to są książęta karnawału, a królem dni zapustnych i królem karnawału jest tłusty czwartek. Cała Polska zajada się pączkami i faworkami. Czasem w pączku zapieczony jest pierścionek złoty lub złota moneta. W Warszawie zjadano w zapusty pięć milionów pączków.

-- Bardzo smaczny jest ten król karnawału, ten tłusty czwartek...

— A potem przychodzi dzień, w którym znów trzeba pomyśleć o śmierci. Dzień ten nazywa się: Popielec. Zawsze wypada we środę i wtedy ludzie idą do kościoła, modlą się, a ksiądz posypuje im głowy popiołem. Na znak skruchy i żałowania. W ten sposób zaczyna się Wielki Post. Zaczyna się cały szereg uroczystości kościelnych, które są smutne i pełne skupienia. Idzie niedziela za niedzielą, a jedna nazywa się Głucha, inna Czarna, aż wreszcie Palmowa. W Palmową Niedzielę święci się palmy.

— A więc w Polsce również rosną palmy?

— Nie dziecino, w Polsce palmy nie rosną. Te palmy, które święci się w niedzielę palmową, nie są prawdziwe. Cóż z tego — znaczą tutaj uczucia i palmy nabierają olśnienia palm prawdziwych. Potem zaczyna się Wielki Tydzień. I znów dużo uroczystości kościelnych na pamiątkę Męki Pańskiej. W Wielki Czwartek zawiązuje się serca dzwonów. Obwiązuje się serca dzwonów krepą i dzwony milkną.

— Jaka szkoda.

— Poczekaj Basiu, dzwony znów się odezwą. Na razie jednak milczą zawiązane serca dzwonów. A cała Polska, jak długa i szeroka, jest krainą dzwonów. Dzwony w Polsce przynoszą wieści religijne i narodowe. Radosne i posępne. Wesołe i żałobne. Otóż w Wielki Czwartek milkną dzwony w całej Polsce. Wówczas w małych miasteczkach i po wsiach, zaczynają wychodzić na ulicę gromady chłopców z terkotkami drewnianymi.

— Po co?

— Ponieważ dzwony w Polsce nie tylko przynoszą wiadomości wielkie radością, czy wielką żałobą. Dzwony przynoszą również wiadomości codzienne i szare na użytek ludzi pracujących. Rano dzwonią na Anioł Pański i wówczas ludzie idą do pracy. Potem dzwon odzywa się w południe i ludzie zasiadają do obiadu. W obiad na wsi widzisz długie miedze, na których siedzą ludzie i spożywają. Wreszcie znów odzywają się dzwony wieczorem, skoro zapada mrok zmierzchu, i obwieszczają koniec dnia roboczego. A kiedy w Wielki Czwartek dzwony milczą, zastępują je te drewniane terkotki i kołatki. Idzie gromada chłopców ulicą i robią hałas; drewniany, bezdźwięczny hałas.

— I co dalej?

— Musiałem chwilkę pomyśleć nad tym, ażeby dość jasno opowiedzieć.

— Zauważ Basiuniu, jak to wszystko idzie w swej kolejności! Naprzód była zima, odpoczywała natura, odpoczywała przyroda i odpoczywał człowiek,

a obyczaje pozwalały człowiekowi na odpoczynek i na zabawę. Jednakże zima miała się ku końcowi i człowiek musiał być na nowo przygotowany do pracy. Wobec tego karnawał się skończył i ludzie posypali głowy popiołem. Kiedy jeszcze był karnawał, biało było dookoła, srebrzyście, tęczowo i mroźno. Kiedy atoli przyszedł Popielec, to z pod śniegu wyglądnęła czarna ziemia, jakby mówiąc: odpoczęłam i pragnę pracować. Więc ludzie zrozumieli wołanie i wzięli się do pracy. A potem ziemia czerniała coraz szerzej i coraz wyżej; od dolin na zbocza gór. I ziemia przestawała być czarną, a zaczynała być zieloną. Ziemia zaczęła swój trudny okres rodzenia. Potem z kolei nadchodzi Zmartwychwstanie.

— Ach, jak to dobrze.

— Wielkie, bardzo wielkie to święto. Kiedy religia nasza obchodzi święto Zmartwychwstania, nasza ziemia obchodzi je również. Przeważnie odbywa się ono wśród wspaniałej wiosny. Rozwiązane serca dzwonów dzwonią na cały kraj wzdłuż i wszerz. Dopiero co były zawiązane krepą, a teraz rozbrzmiewają rozgłośnie i cieszy się ziemia, cieszy się lud.

— A czy Zygmunt też miał serce zawiązane?

— Zygmunt jest dzwonem i też miewał serce zawiązywane. I też z niego opadały więzy kiedy przyszedł Czas Zmartwychstania.

— A więc już teraz nigdy nie opadną z Zygmunta więzy, ponieważ Zygmunta nie ma, ponieważ Zygmunta ukradli Niemcy?

— Słuchaj, Baśka i uważaj, co mówię i staraj się zrozumieć. Każda pierś ludzka jest, jak dzwon

i serce w niej bije. I w twojej piersi bije dzwon i w mojej i w piersi każdego Polaka. I my wszyscy Polacy, jak tu jesteśmy, mamy związane nasze serca. Wszyscy, bez wyjątku. Ale przyjdzie dzień, w którym opadną więzy z naszych serc i nasze serca wszystkie zadzwonią tak głośno, że głośniej niż Zygmunt. To będzie dzień Zmartwychwstania. I spłynie łza w kąciuku ócz z żalu za straconym Zygmuntem, ale łza ta utonie w powodzi innych łez, które będą łzami radości z powodu Zmartwychwstania. I na nowo ulejemy nowy olbrzymi dzwon, dzwon większy, niż dzwon Zygmunta. Może nawet dzwon ten nazywał się będzie: „Zygmunt Drugi“. I odlejemy na nowo wszystkie dzwony ukradzione w Polsce. Postawimy na nowo wieże kościelne, aby miały gdzie zawisnąć te nasze nowe dzwony i aby miały skąd ogłaszać swą, to znaczy dzwonów, radość. I radość nasza to znaczy radość Polaków. Mamy bowiem ręce pełne pracowitości, zręczności i skupienia ...

I dodałem :

— I wtedy będzie Wiosna, zielona i ukwiecona. Wiosna tworząca w mozole i w pięknie. Wiosna rozwiązanych naszych serc, rozwiązanych serc dzwonów, rozwiązanego olbrzymiego serca naszego narodu.





O EMAUSIE I RĘKAWCE

ROK rocznie, Basiu, w Wielką Niedzielę, brała mnie za rękę mała Zenia i mówiła: „Czy pójdziemy jutro na Emaus, a pojutrze na Rękawkę?”

— A kto to był, ta mała Zenia?

— To była taka malutka dziewczynka, jak ty w tej chwili jesteś, tylko że niepodobna do ciebie. Ty masz niebieskie migdały, ona miała czarne jak węgiel, jak asfalt. Ty masz czarne włosy, ona miała jasne. Zupełnie nie była do ciebie podobna, Basiu.

— Więc dobrze. I szliście? Ale w ogóle nie wiem, ani co to jest Emaus ani co to jest Rękawka.

— Zaraz ci wytłumaczę. Emaus i Rękawka to są ludowe uroczystości krakowskie. Emaus odbywa się zawsze w Poniedziałek Wielkanocny a w trzeci dzień świąt, to znaczy jak to jest teraz, już

właściwie po świętach, albowiem trzecie święto zostało
zniesione — odbywa się Rękawka.

— A więc nie ma Emausa ani Rękawki we
Lwowie, w Wilnie czy w Poznaniu?

— Nie ma.

— Więc dlaczego o nich mówisz?

Jestem, o wyniosła Barbaro, krakowianinem, a
Kraków nie jest najmniej ważnym miastem w
Polsce. Przez wiele lat był przecież stolicą Polski.
Lecz nie o to idzie. Jest wiele zwyczajów, które za-
chowały się w całości tylko w Krakowie i nie można
ich pominąć milczeniem. Przecież Kraków jest jednym
z najstarszych miast Polski i obyczaje, które się tam
przechowały, są tym samym najstarsze. Tak i Emaus
posiada tradycję z tysiąca chyba lat, a Rękawka
jeszcze starszą, ponieważ sięga jeszcze czasów po-
gańskich.

— Ale co to wszystko jest?

— W Poniedziałek Wielkanocny tłumy krako-
wian, a przede wszystkim dzieci pójda ulicą Zwie-
rzyniecką w stronę t. zw. Salwatora, który leży u
stóp góry św. Bronisławy. Posłuchaj tylko, jak to
w oczach historii wygląda: ulica Zwierzyniecka
ciągnie się przez dzielnicę Zwierzyniec. Tam na tym
miejscu, był kilkaset lat temu zwierzyniec królewski
i stąd pozostała nazwa. A Wzgórze św. Bronisławy
jest sławne z tego, że na jego wierzchołku wznosi
się kopiec Kościuszki. Słyszałaś chyba o kopcu
Kościuszki i wiesz kto to był Kościuszko?

— Wiem.

— Otóż Zwierzyniec od Krakowa oddziela rzeczka Rudawa, która w tym właśnie miejscu wpada do Wisły z lewego jej brzegu. Nad Rudawą ciągnie się ulica, która nazywa się: Emaus. I tam w tym właśnie miejscu odbywa się zabawa, która również się nazywa: Emaus. Ciągłą tłumy krakowian i jeszcze większe, nieprzejrzone wprost tłumy dzieci. Jest śmiech, krzyk, pisk, wrzawa, granie blaszanych trąbek, buczenie papierowych wężów i są tradycyjne serca z piernika. Jest cała masa cukierków, słodczy, bakali, zabawek, lalek, kuchenek dziecięcych, malutkich łóżeczek, istne cuda. Ale najważniejsze są serca z piernika. Mają wylukrowany na sobie piękny krakowski haft i różne napisy, na przykład: Jadzi, Zosi, Stasi, Andzi.

— A czy jest: Basi?

— Jest, oczywiście. Nigdy jednak nie było serca z napisem: Zeni. I moja mała Zenia bardzo się tym martwiła. Aż któregoś roku poszedłem do takiego piekarza, który piecze serca z piernika i poprosiłem go, aby wylukrował na pierniku napis: Małej Zeni. I zapytałem go na którym straganie to serce ma być. Ale kiedy podszedłem z Zenią, serca już nie było. Okazało się, iż kupił je kto inny, jakaś duża Zenia. A moja mała Zenia koniecznie chciała z tego powodu płakać, ale jej nie pozwoliłem na to.

— Jak mogłeś jej nie pozwolić płakać?

— Najprościej w świecie. Kupiłem jej olbrzymią lalkę, która mówiła: mama.

— Chyba że tak, to zmienia postać rzeczy.

— I tak koło szeregu straganów bawią się dzieci i starsi. Mówiłem, że tam jest cały raj zabawek. Są oprócz tego karuzele, orkiestry, katarynki, a megafony radiowe wykrzykują skoczne melodie. Jest tak wesoło, że trudno sobie wyobrazić. A po zabawie zapada zmierzch, rozjarzają się lampy elektryczne i z powrotem do miasta ulicą Zwierzyniecką ciągnie tłum.

— Jaka szkoda, że się tak prędko skończyło...

— Poczekaj, Basiu wprawdzie skończył się Emaus, ale nazajutrz ma być Rękawka. To już w zupełnie innej stronie miasta, na prawym brzegu Wisły. Ciągną się tam wzgórza, zwane Krzemionkami i błyskające białością wysokich kilkudziesięciometrowych skał wapiennych. Na takiej skale, na samym wierzchu wzgórza, stoi kościółek św. Idziego. Bardzo mały, malutki, jak kapliczka. Długo debatowali uczeni, ile lat stoi w tym miejscu ten kościółek. I doszli do przekonania że chyba bez mała z tysiąc lat. Opodal kościółka jest taki jakby majdan szeroki i na nim odbywa się Rękawka.

— A skąd ta nazwa?

— Trudno dociec. Niektórzy mówią, że stąd, iż ludzie w rękawach nosili ziemię dla sypania kopców, albowiem jak ci wiadomo Basiu, Kraków, jest miastem kopców. Z jednej strony wzgórza, w dole znajduje się ulica która nazywa się również Rękawka. Z drugiej strony przeciąga linia kolejowa a za linią kolejową wznosi się sąsiednie wzgórze, zaś na nim kopiec Krakusa, tego księcia, który miał założyć Kraków. I znowu dlatego niektórzy

twierdzą, że Rękawka jest uroczystością, pozostałą jeszcze z czasów pogańskich, na cześć księcia Krakusa.

— A jak się ludzie bawią na Rękawce.

— Tak samo mniej więcej, jak na Emausie. Te same setki straganów, te same karuzele, huštawki, orkiestry, katarynki i grajszały. Kiedyś zadałem sobie trudu nieco i postanowiłem obserwować, jak wygląda wymarsz „Emausu“ na „Rękawkę“ I oto, co zobaczyłem: kiedy miasto usnęło, straganiarze poczęli gorączkowo związać swoje szalasy, składać je na wozy, pakować skarby zabawek i cukierków do koszów. Równocześnie zdjęto dach z karuzeli, pozdejmowano konie drewniane, łabędzie i piękne gondole. To wszystko wsadzono na wozy i w nocy z głuchym turkotem kół przewieziono wśród uśpionych ulic na Krzemionki. A więc na Krzemionkach jeszcze w ciągu nocy zaczęły wyrastać kształty bud, karuzel i strzelnic. Migały ogniki, świeciły latarnie i lampy karbidowe. Praca wre. A kiedy wstanie poranek, robota jest już w połowie ukończona. Gromadki niecierpliwych dzieci dążą już z miasta na Krzemionki. Ale karuzele osłonięte są dookoła płótnem i stragany są osłonięte płótnami, jak kurtynami. Poza zasłonami idzie praca w dalszym ciągu. W karuzelach montuje się koliste podium, na nim stawia się konie i przyśrubowuje mocno, aby któryś z takich koni nie zerwał się w czasie jazdy. W straganach układa się zabawki i słodczyce tak, aby jeszcze piękniej i jeszcze smaczniej wyglądały.

— Więc odbywa się tam to samo, co na Emausie?

— Niezupełnie. Jest pewien szczegół, charakterystyczny dla Rękawki. Mianowicie w najwyższym miejscu wzgórza stoi wysoki słup. Słup ten jest gładko oheblowany i pieczołowicie wysmarowany mydłem. Na wierzchu słupa, jakby na bocianim gnieździe, znajdują się skarby: wiązka kielbasy, 20 złotych i nowiutkie ubranie. Trzeba tylko paść się na ten słup i zabrać sobie... Proszę bardzo! Nie można tylko używać żadnych przyczep i narzędzi. I tu odbywa się najwspanialsza zabawa. Pną się chłopaki w górę. Ściskają ramionami i kolanami słup. I idzie taki, idzie, idzie, pnie się coraz wyżej, a tłum krzyczy i dzieci biją oklaski. Śmiech i gwar dookoła. A on już jest tak wysoko, że tylko sięgnąć ręką. Wyciąga rękę i zjeżdża w dół. I tak trwa nieustanna zabawa. Są tacy, którzy pną się po kilka razy, ale za każdym razem docierają coraz niżej.

— A więc nikt nie potrafi zdobyć tego skarbu?

— Gdzież tam, Basiu, zawsze się znajdzie taki zręczny chłopak, który dotrze na górę i zdejmie sobie kielbasę, 20 złotych i ubranie. Nie było wypadku, ażeby skarb na bocianim gnieździe dotrwał do wieczora. Raz tylko stała się okropna rzecz:

— Ach, proszę powiedzieć, co za okropna rzecz.

— Oszustwo się stało, Basiu. Przyszedł taki młody człowiek, wspiął się jak gdyby nigdy nic na sam wierzch, założył wianek kielbasy na szyję przebrał się tam na samym wierzchu słupa w nowe ubranie i spłynął pomalutku na dół. A tłum chciał go pobić zaraz na miejscu bardzo srogo, że to

oszustwo. Był to bowiem zawodowy cyrkowiec, a w umowie społecznej jest, że zawodowcy nie mogą występować na Rękawce, miejscem ich występu jest bowiem cyrk. Z trudem policja go obroniła, ale nagrodę wziął, bo to było pierwszy raz i potem wszyscy bardzo się z tego śmiali, nawet ci którzy chcieli bić akrobatę...





A. Kauldant's



O KONIKU ZWIERZYNIECKIM, CZYLI LAJKONIKU

TROCHE niepokornie popatrzyłem na Basię. Bałem się bowiem wymówek. Ona domaga się, żebym jej opowiedział następną bajkę biało-czerwoną, a tu mi się nasuwa temat znowu krakowski.

— Dlaczego nic nie mówisz? — zapytuje Basia — czy może jesteś chory? Czy cię głowa boli?

— Nie, nie jestem chory, ani nie boli mnie głowa ...

— Wiem, że Basia rozróżnia te dwa pojęcia: jestem chora i boli mnie głowa. „Jestem chora“ to oznacza że jest naprawdę chora, a „boli mnie głowa“, to oznacza że Basi się czegoś nie chce...

— Będę znów musiał mówić o Krakowie, Basiu. A ty już raz byłaś niezadowolona z tego, że mówię ciągle o Krakowie.

— Bo nigdy nic nie mówisz o Poznaniu. Ale wolę już, żebyś mówił o Krakowie, niż miałbyś w ogóle nie mówić...

Jestem głęboko zobowiązany Basi za tę wspaniałość, za to, że pozwala. Przeto zaczynam :

— Najpiękniejsze, moja maleńka, procesje Bożego Ciała odbywają się w Łowiczu oraz w Modlnicy pod Krakowem. Na Boże Ciało wszystkie miasta, miasteczka i wsi polskie stroją się w światła, dywany, sztandary, chorągwie, kwiaty, zieleni i obrazy. Na rynkach stawia się cztery ołtarze i od ołtarza do ołtarza idą procesje, a księża przy każdym ołtarzu odczytują jedną ewangelię. Dlatego ołtarzy jest cztery, ponieważ cztery są ewangelie. Idzie procesja wspaniała, lśniąca od złota i srebra, owiana zapachem kadzideł, obsypana kwiatami, rozśpiewana i grająca orkiestrami. To jest najbarwniejsza, najwspanialsza procesja. Ale z tych najwspanialszych procesji najbarwniejsza i najpiękniejsza jest procesja w Łowiczu i w Modlnicy pod Krakowem. W Łowiczu blasku i chwały dodają procesji bajecznie kolorowe kostiumy wieśniaczek i wieśniaków, są to tak zwane kostiumy łowickie. W Modlnicy to samo wrażenie sprawiają kostiumy ludu krakowskiego. Przyjeżdżają z zagranicy i z Ameryki ludzie, ażeby filmować te procesje. Jeśli procesja łowicka w ogólnym kolorycie, w ogólnej barwności swojej jest raczej czerwonawa, to procesje Modlnicy są raczej niebieskawe. Są jeszcze

inne procesje: w Piekarach i w Żywcu. Tam same stroje są o wiele, wiele piękniejsze, ale koloryt jest może mniej barwny — są to procesje białe. Nie o procesjach wprawdzie chciałem mówić, ale to, co chcę ci opowiedzieć, wywodzi się z uroczystości Bożego Ciała. Chcę ci opowiedzieć bajkę o Lajkoniku, czyli o zwierzyńskim koniu.

— Słyszałam, słyszałam, słyszałam.

— W oktawę Bożego Ciała, a więc w najbliższy czwartek po Bożym Ciele, które też zawsze wypada w czwartek, wyrusza ze Zwierzyńca w Krakowie bardzo wspaniały i bardzo osobliwy orszak. O Zwierzyńcu słyszałaś już, kiedy ci mówiłem bajkę o Emausie.

— Pamiętam bardzo dobrze tę bajkę. Potem była Rękawka i słup.

— Orszak, który wyrusza ze Zwierzyńca, jest dziwaczny i wspaniały. Olśniewająco kolorowe kostiumy, wysokie czerwone czapy szamerowane złotem u ludzi idących w orszaku, buńczuki, powiewające nad głowami, orkiestra, składająca się z samych piszczałek i bębnow i dokoła tysiące ludzi. W ten sposób posuwa się orszak Tatarzyna. Przejechałaś niestety przez kraj Tatarów, przez kraj Uzbeków. Jeśli pamiętasz ich odświętne starodawne stroje, to takie same możesz zobaczyć w Krakowie na Zwierzyńcu w oktawę Bożego Ciała.

— A Lajkonik?

— Właśnie w środku orszaku podąża koń nie koń, człowiek nie człowiek, dziwna postać. W wysokiej, najbardziej bogatej spiczastej czapie, z długą czarną brodą, siedzi na koniu okrytym złotym i

niebieskim czaprakiem. Właściwie to jednak nie wiadomo, czy on siedzi na koniu, czy koń siedzi na nim. Bo koń zrobiony jest z tektury, ma w grzbiecie dziurę, przez tę dziurę wchodzi do niego człowiek, przypina sobie konia pasami do ramion i to wszystko razem nazywa się: Lajkonik.

Sam się uśmiecham do tego widoku.

— Na całej Zwierzynieckiej ulicy tłumy ludzi, tłumy pod pałacem biskupim, na Brackiej i w Rynku Głównym. Ciągną się wielotysięczne szpalery po obu stronach ulicy. A środkiem ulicy posuwa się orszak bajecznie kolorowy. Lajkonik podskakuje na swoim koniu, orszak podąża za nim dostojnie. Zwierzyniecki konik wykonywa tańce. Harcuje w prawo i w lewo, a orkiestra mu przygrywa. Lajkonik ma gumową pałę w ręce i wali na prawo i lewo kogo tylko dopadnie.

— O Boże! — przestraszyła się Basia.

— Nie bój się, Basiu, to nie jest takie groźne. Wprawdzie jest wiele wrzasku i wiele krzyku i bardzo dużo ścisku i uciekań i gmatwanin i kłębowania, ale ponad tym wszystkim górują całe fontanny śmiechu i krzyk jest pełen radości, nabrzmiały uciechą, jak pomarańcza sokiem.

— To musi być okropnie wesołe? I on tak wali pałą?

— Wali, bije na prawo i lewo. Orszak i orkiestra przystają co pewien czas, orszak zatacza koło, a Lajkonik tańczy swój tatarski taniec. Ten człowiek, który jest w tej chwili Lajkonikiem, jest już zmęczony, ale tego nie widać, bo zmęczenie przesłania

szminka i pot po niej spływa niewidocznie. Ten człowiek nazywa się Nalepa i jest rybakiem krakowskim.

— To on nie jest Lajkonikiem i nie nazywa się Lajkonik?

— Nie. Lajkonikiem jest on tylko raz na rok. A tak w ciągu roku, łowi ryby i sprzedaje je. I żyje z tego łowienia ryb oraz z tego, co mu ludzie ofiarują w czasie jego igrów lajkonikowych. Ale on jest bardzo dumny z tego, że jest Lajkonikiem. Bo to było tak: Lajkonikami zawsze byli rybacy zwierzynieccy z rodziny Łuczków, przez całe setki lat. Ale potem rodzina Łuczków wymarła i buławę lajkonikową odziedziczył zięć Łuczków nazwiskiem Nalepa.

— To bardzo ciekawe. A jaki był początek Lajkonika?

— Właśnie chciałem ci o tym powiedzieć. W średniowieczu, w trzynastym wieku, do Krakowa dotarły zagony najazdu tatarskiego. Stał już wówczas od dawna kościół Mariacki i na wysokiej jego wieży czuwał strażnik. Dostrzegł ten strażnik zbliżającą się ordeę. I zatrąbił hejnał, ten sławny mariacki hejnał. Jednakże czoło pochodu tatarskiego dotarło już tak blisko, że strzała, wypuszczona z łuku tataru, zabiła strażnika na wieży. Zabiła go tak nagle, że nie dokończył swej pieśni i odtąd hejnał mariacki nigdy nie bywa dokończony — trwa to już tak sześć wieków z górą. Ale mimo to strażnik przed śmiercią zdołał zaalarmować ludność Krakowa i wezwać do obrony. Pierwsi rzucili się

i najdzielniej się bili zwierzynieccy rybacy. Wyparto tatarów ze śródmieścia Krakowa i z przedmieść i wypędzono poza granice Rzeczypospolitej. Wobec tego od tej chwili hejnał jest odgrywany jako pieśń bez zakończenia, a w oktawę Bożego Ciała harcuje krakowski tatarzyn czyli zwierzyniecki Lajkonik. Albowiem ów sławny napad wydarzył się właśnie w dzień oktawy Bożego Ciała, kiedy po mieście chodziły procesje, a wróg nadszedł podstępnie.

— To bardzo ładne, to bardzo, bardzo ładne.

— Przez kilka wieków dzieci słyszą opowieść o Lajkoniku i zawsze o niej mówią, że bardzo ładna. Ale myśmy zostawili Lajkonika, jak idzie ulicą Zwierzyniecką do środka miasta, wyprawia harce, roztrąca tłum...

— ... i bije pałą.

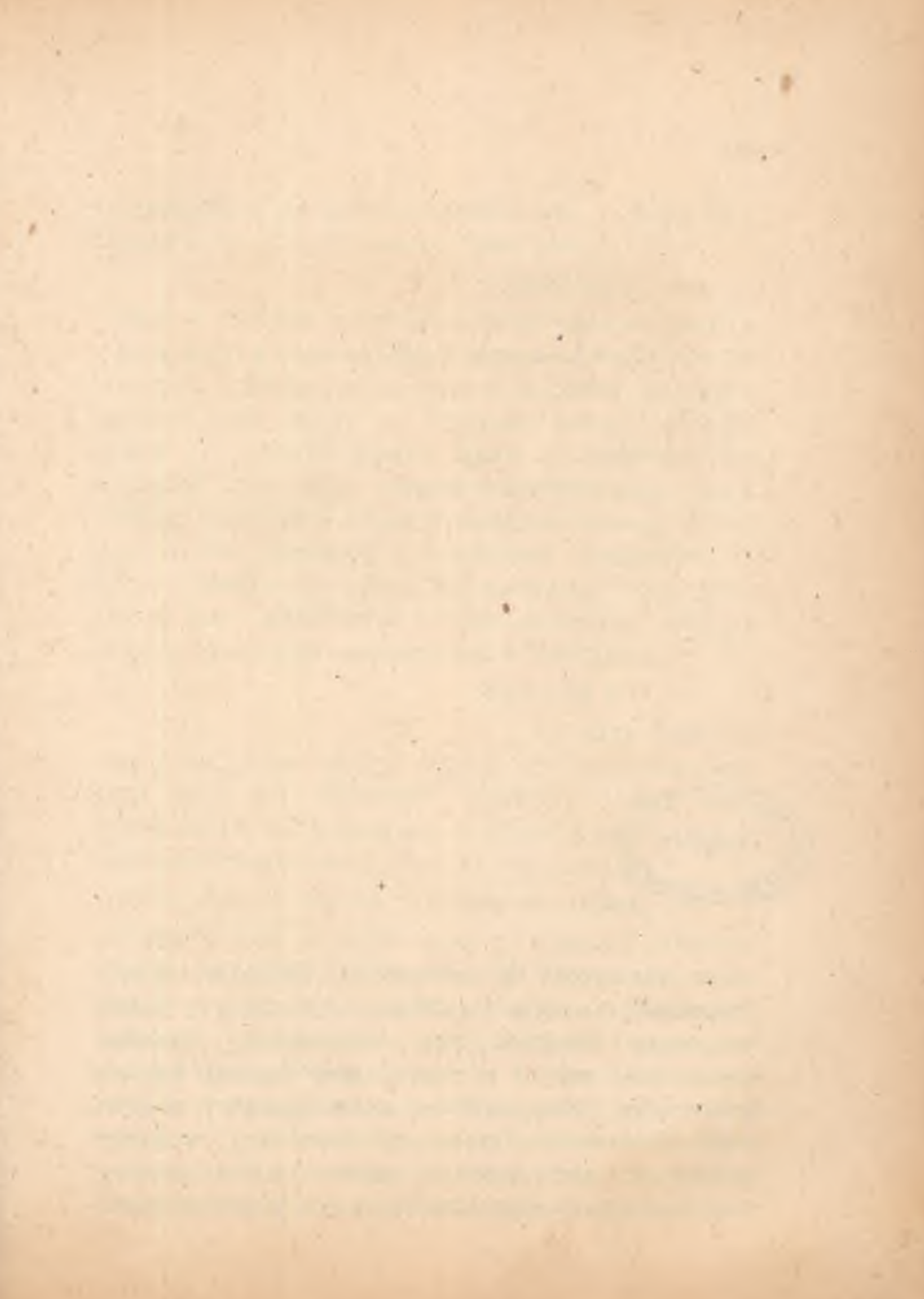
— I bije pałą, a dookoła jest straszliwie wesoło. Orszak dociera do pałacu biskupiego i tam tworzy duże koło. Orkiestra gra, ludzie się pchają, rzucają w papierkach pieniądze, a Lajkonik tańczy swój taniec. Potem orkiestra zaczyna grać hymn lajkonikowy, pochylają się sztandary trzykrotnie, pochylają się buńczuki, w oknie pałacu ukazuje się ksiądz biskup i rzuca zawiniętą w papier złotą monetę. Lajkonik, tatarzyn, pochyla się trzykrotnie tak nisko, że aż dotyka drewnianą głową swojego konika bruku. I znów zaczyna szaleć. Skacze w prawo i w lewo...

— I bije pałą?...

— Tak, wali pałą. Potem idzie w ulicę Bracką i do Rynku i tam wyprawia harce. A w najlepszych

restauracjach Krakowa czekają stoły zastawione suto. Zasiada za tymi stołami Lajkonik i cała jego barwna drużyna. Tak pełno jest ludzi w restauracji, że z trudem Lajkonik może się przecisnąć. Idzie wąską ścieżką między ludzi i bije. I to już jest koniec pochodu. Zaś kostiumy i koń tekturowy z drewnianą głową i buńczuki, chorągwie, a nawet piszczałki i bębny wędrują do muzeum na całoroczny odpoczynek.









O NOCY ŚWIĘTOJAŃSKIEJ

BASIA coś dzisiaj jest nie w humorze, a ja właśnie mam zamiar jej opowiedzieć najpiękniejszą z polskich bajek, bajkę o najcudowniejszej nocy polskiej. Basia miała jakieś nieporozumienia z wychowawczynią i wskutek tego siedzi nadąsana i roztargniona.

— Jakoś twoje niebieskie migdały są dziś, Basiu, dziwnie nieprzychyłne. Możeby dzisiaj nie opowiadać ci bajek biało-czerwonych?

— Jeśli nie opowiesz mi dzisiaj żadnej bajki, to będzie ze mną jeszcze gorzej!

Zadrzałem, albowiem tak ponuro zabrzmiała ta groźba. Ośmieliłem się jednak zapytać:

— Ale czy będziesz przynajmniej uważała, Basiu i słuchała tego, co mówię?

— Nie wiem jeszcze. Muszę się przekonać, czy będziesz mówił dość zajmująco.

A to wymagająca osóbką pomyślałem.

— Spróbuję, posłuchaj. Czy wiesz, co to jest kwiat paproci ?

— Nie wiem, nie mam pojęcia, nigdy o tym nie słyszałam.

Teraz ja z kolei się zmartwiłem i nadąsałem. Bo jak to być może, ażeby dziewczynka polska w wieku Basi nigdy nie słyszała o kwiecie paproci ? Spróbuję jej jednakże opowiedzieć tę legendę.

— Powinnaś wiedzieć Basiu, że dwie są w Polsce noce najbardziej owiane czarem legendy, czarem baśni. Pierwsza, to noc wigilijna z 24. na 25. grudnia, a druga, to noc świętojańska z 23. na 24. czerwca. W noc Wigilijną rozmawiają wszystkie zwierzęta domowe. Opowiadają sobie przeżycia z całego roku i wyszeptują przepowiednie na rok następny. Rozmawiają ze sobą w oborze krowy i owce, w stajniach konie, w kurnikach kury, indyki, a nawet w chlewach świnki mówią coś do siebie. Dużo mógłby się dowiedzieć ciekawych rzeczy człowiek, któryby umiał podsłuchać te rozmowy, tak bardzo są one mądre. Byli tacy, którzy podsłuchali; kiedy wrócisz do Polski, opowiedzą ci ludzie o nich. Drugą nocą jest Noc Świętojańska, kiedy to zakwita bajeczny kwiat paproci.

Basia przestaje być roztargnioną i nadąsaną. Rozchmurza się i patrzy na mnie uważnie.

— Kwiat paproci kwitnie tylko w jedną tę noc świętojańską i tylko na krótką chwilę. Trzeba iść

w las, w głąsę, w ostępy czarnych borów, wspinać się na zbocza gór, i błądzić po bagniskach, ażeby znaleźć taki kwiat. A człowiek, który znajdzie ten kwiat, stanie się przez to właścicielem szczęścia i posiadaczem mądrości. Tak mówi lud wiejski, tak mówią miasteczka, dwory i opowieści pisane. I dużo lud opowiada o tych, którzy szli, szukali i znaleźli.

— Więc mów mi o nich.

— Nie, Basiuniu, nie można o tym mówić na obczyźnie. Kiedy wrócisz do kraju, poprosisz ludzi starych, ażeby ci to opowiedzieli. Ludzie starzy pamiętają o tym bardzo, bardzo dobrze. Ja tylko chciałbym zwrócić uwagę na to, jak trudno jest szukać kwiatu paproci. Już nie to, że kryje się on głęboko w borach, w ostępach leśnych i na bagniskach, sprawia te trudności. Ale widzisz, jest to okres czasu w Polsce, w którym wszędzie, skoro tylko zapadnie zmierzch i uderzy z nieba czarna noc, zaczynają latać miliardy błyszczących niebiesko ogniczków. Są to tak zwane robaczki świętojańskie. I unoszą się one na polanach leśnych nad łąkami, nad strugami jakby gwiazdki które spłynęły z mlecznej drogi na ziemię. Legenda mówi, że kwiat paproci nie tylko kwitnie, nie tylko pachnie, ale i świeci. I jak tu teraz poznać wśród tego tłumy ruchliwych i zwodnych ogników, gdzie to właśnie zakwitł kwiat paproci. Robaczki świętojańskie mylą i zwodzą, oczarowują i prowadzą po manowcach.

— Wobec tego bardzo trudno znaleźć kwiat paproci...

— Naprawdę trudno i nie wielu było ludzi,

którzy znaleźli ten kwiat. A ludzie ci musieli mieć jedną z największych zalet ludzkich, a mianowicie musieli umieć nie zrażać się trudnościami, musieli mieć serca spokojne, a dusze cierpliwe i wytrwałe. Albowiem nic w życiu ludzkim, w tym rzeczywistym ludzkim życiu i nic nawet w legendzie, baśni, czy bajce, nie przychodzi bez trudów...

— Widocznie tak musi być.

— Nie przeszkadzaj, ponieważ chcę cię poprowadzić dalej w kraj legendy. Czy wiesz kiedy się odbywa noc świętojańska? Posłuchaj. Właśnie skończyła się wiosna i zaczęło się lato. Na łąkach stoją kopce siana i całe stogi. Ziemniaki zostały już okopane, zboże zaczyna kwitnąć, rozsyłając odurzający zapach. Jest to chwila, w której cała przyroda zajęta jest jak gdyby tylko jedną sprawą: dojrzewaniem. Dla spracowanego człowieka chwila ta oznacza chwilę odpoczynku. Pierwsze prace człowieka, tego który opiekuje się przyrodą i przyrodzie pomaga, są zakończone; następne prace jego zaczną się dopiero za kilka dni. Przeto człowiek odpoczywa. I w ten sposób powstaje odwieczny zwyczaj — Sobótek i Wianków.

— Co to są Sobótki?

— Tegoż samego wieczora, w wigilię św. Jana, nagle ziemia polska staje się jakby jednym wielkim, radosnym uroczyskiem. Na wszystkich wzgórzach, na szczytach gór, na leśnych polanach, zapłoną ognie. Palą się olbrzymie stosy. Ludzie trzymają w rękach zapalone pochodnie i wywijają nimi jak maczugami, otaczając się, to kołem ognistym, to węzowymi szla-

kami ognia. A młodzi chłopcy i młode dziewczęta skaczą ponad płonące ognisko, otulając swe szaty, aby się nie zajęły od ognia. Starzy patrzą na to z pobłażaniem, i wzruszeniem, bo i oni kiedyś spełniali ten obrzęd. Rozlegają się śpiewy, i płyną w górę, w gwiazdne niebo. Są okolice w których Sobótki trwają tylko jedną noc, są inne, w których rozjarzają się ogniska przez trzy wieczory, a nawet przez siedem.

— A co to są Wianki?

— Sobótki jest to obrzęd pozostały jeszcze z czasów pogańskich, to samo i Wianki. Wianki odbywają się również w wieczór świętojański. Młode dziewczęta wyplatają z kwiatów wianki i puszczają je na wodę. Płyne taki wianek zwolna w dół strumienia czy rzeki, niesiony prądem wody. A chłopcy wskakują do wody i starają się taki wianek wyłowić. Albowiem mówi legenda, że pozyska miłość dziewczyny chłopak, który wyłowi jej wianek...

— A czy ja będę mogła puścić na wodę swój wianuszek tutaj?

— Nie wiem, Basiuniu, ale mam takie wrażenie, że nie będziesz mogła. Bo legenda mówi o wiankach, że płyną one coraz dalej, coraz dalej, aż wreszcie ze wszystkich stron kraju dopływają do Wisły i Wisłą płynąc docierają aż do polskiego morza. W jakiż sposób twój wianek, wrzucony tutaj, w obcą rzekę, mógłby dopłynąć do Wisły i do morza? Musisz więc poczekać, aż wrócimy...

— Jaka szkoda, jaka wielka szkoda!

— Z tych ludowych wianków rozwinęły się wielkie uroczystości. Nie tylko na wsiach obchodzi się wianki, ale i w miastach. W Krakowie, w Warszawie i gdzie indziej. Rozjarzają się miasta tysiącem świateł. Płyną statki, galary i łodzie. Na statkach grają orkiestry, na galarach odbywają się tańce, na łodziach płyną rycerze w stal zakuci, smoki wawelskie i wiele innych legendarnych postaci. A wszystko to oświetlone na czerwono, na niebiesko, na żółto tysiącem ogni sztucznych. Wylatują w powietrze rakiety, rozsiewające tysiące różnokolorowych gwiazd, a każda z tych gwiazd wybucha potem z hukiem. Wylatuje w niebo złoty wąż, który rozszerza się coraz bardziej w górę, aż wreszcie pod samymi gwiazdami rozwija się jak gdyby w złotą palmę, rozlatuje się z sykiem i w swoich skrętach rozświetla się różnymi kolorami. Czasami robi się jasno jak w dzień, ino że tak kolorowo, tak wspaniale, iż cały świat zamienia się w bajkę. A potem na wzgórzach zaczynają szaleć „diabelskie młyny“. Jest to taki krąg olbrzymi światła, takie olbrzymie świetlane koło młyńskie, które kręci się w sposób oszałamiający. Dziesiątki tysięcy ludzi wita każdą raketę, każdą gwiazdę rozgłośnym okrzykiem zachwytu, który słyhać w całym mieście. Po rzece płyną również i wianki umieszczone na deseczkach, a w środku płonie lampka lub świeczka. Olbrzymi tłum tych wianków gromadzi się na wodzie. A musisz zrozumieć Basiu, że tych świateł, tych kolorów, tych zjawiskowych barw jest zawsze podwójna ilość. Jedne to te, które wyskakują pod niebo i

płyną na wodzie, inne to te, które odbijają się w zmarszczonym zwierciadle wody, może nawet nie tylko podwójnie ale poczwórnje, poszóstnie, tysiąckrotnie, bo wody są zmarszczone drobniutkimi falami, a każda fala powtarza sama dla siebie te błyski, te światła, wstęgi czerwone i niebieskie i każdy kształt świetlany.





O D O Ź Y N K A C H

— Nie myśl, że opowiadam ci tylko o zabawach, weselach i uciechach. Słuszną jest jednak rzeczą aby ludzie po pewnym okresie mozolnej pracy odpoczęli i poweselili się.

— Ja to już sama zrozumiałam, że ty opowiadasz niby to o Bożym Drzewku, o Rękawce, o Lajkoniku i o Nocy Świętojańskiej, ale ciągle podkreślasz: praca, praca, praca.

Pogłaskałem małą Barbarę po czarnej głowinie, ponieważ sprawiła mi dużą przyjemność. Pomyślałem chwilkę i zacząłem mówić dalej:

— Bardzo ciężki dla człowieka, i dla zwierzęcia domowego pełen wysiłku, jest okres żniw. Pszenica, żyto, jęczmień okwitły już, porozsyłały dookoła odurzający zapach i kwiat opadł z młodocianych kłosów. Kłosa pęcznieją teraz i rosną. Nabierają ziarna tak wysoko i tak dużo, że gną się za naj-

mniejszym podmuchem wiatru. Żółcieją tak bardzo, że aż przypominają barwę złota. Chwieją się szerokimi falami łany zbóż, kłaniają się wiatrom i życzliwemu niebu i nabierają miąższa w ziarna. Rośnie chleb. A łany kłaniając się niebu patrzą w nie z niepokojem: czy gdzieś zza gór, spoza lasów nie wyjdą czarne chmury, groźne i straszliwe, pohaftowane złotymi nićmi błyskawic i rozbębnione straszliwym łomotem piorunów. I ludzie, spracowani ludzie, patrzą również w niebo z niepokojem.

— Dlaczegoż to?

— Bo widzisz nadejść mają żniwa. W maju ludzie proszą Boga o deszcz, bo deszcz jest sokiem dla ziemi, a ziemia hojnie oddaje z nawiązką ten sok zbożom. Wtedy deszcz jest potrzebny, pożyteczny i zbawienny. Ale kiedy zboża już dojrzały, kiedy łany są już tak bardzo żółte, że aż kolorem przypominają złoto, wówczas deszcz jest nieszczęściem. Opoźnia żniwa, a jeśli lunie w czasie żniw, zamoczy snopy, zawilgoci stogi i kopce i mokre ziarno może zgnić. A nawet jeśli już nie zgnije, to w każdym razie traci bardzo na wartości i smaku.

— Więc po co pada deszcz. Czy musi padać?

— Nie, nie musi, ale zdarza się. Nie myśl bowiem Basiu, że u nas w Polsce jest tak samo jak tutaj. Tu przez długie, liczne miesiące w roku nie spadnie ani kropla deszczu. Tutaj deszcz pada tylko w zimie, a ludzie się cieszą i są tym deszczem zachwyceni. Ale popatrz Basiu ile tu dookoła pustyni, żółtych piachów, brązowych skał, ile kamieni, porozsiewanych na setkach kilometrów. Są rzeki,

które wysychają i jeziora, które wysychają. A zielono, pięknie, jest tylko nad rzekami lub w oazach i ziemia zaczyna tam być urodzajna tak bardzo, jak tylko może być urodzajną ziemia, jak chyba tylko urodzajną była w raju. Ale już nie daleko od brzegów rzeki, czy jeziora, zaczyna się pustynia. Tam już woda nie dosięga, tam panuje słońce: pali, suszy i niszczy. Popatrz dookoła, Basiu, powtarzam: ile tutaj pracy ludzkiej? Ludzie sprowadzają z rzek wodę kanałami i kanały te bardzo przemyślnym systemem nawadniają całą okolicę. Czasem te kanały mają życia po kilka tysięcy lat. Budował je czasem architekt, o którym ludzkość dawno już zapomniała. Błogosławione są te kanały. One prowadzą wodę dla ziemi i wtedy ziemia dookoła odżywa. Rosną drzewa, kwiaty, zboża i jarzyny. Ale tylko wtedy, jeśli jest woda. Zaś, żeby była woda, człowiek musi wśród słonecznego żaru ciężko i długie lata pracować, iżby pobudować kanały. U nas w kraju tego nie potrzeba.

— Dlaczego?

— Bo u nas mnóstwo jest rzek i mnóstwo rzeczułek. Tylko najwyższe góry błyszczą nagimi skałami i jest tylko jedna jedyna mała pustynia błędowska. Poza tym cały kraj jak długi i szeroki zieleni się, kwitnie i rodzi. Dlatego właśnie, że wody jest tak dużo. Tutaj trzeba jechać dziesiątki kilometrów, a czasem nawet setki, ażeby spotkać osadę ludzką, u nas zaś wieś mieszka obok wsi, a każda otoczona jest sadami, polami, łąkami i gajami. U nas cała ziemia rodzi, a tu tylko oazy. Dlatego, że my

mamy dużo rzek, strumieni i rzeczulek, a z nieba często pada deszcz. Tak często, że ludzie z miasta narzekają, wkładają na nogi kalosze, noszą w rękach parasole i mówią z obrzydzeniem: „no, proszę, znowu leje!“ Czy rozumiesz to, co mówię?

— Rozumiem i proszę dalej.

— A więc powróćmy do tematu. Zboża są dojrzałe, ziarno w kłosach twarde i nadchodzi czas żniw. A ludzie, jak ci mówiłem, patrzą z niepokojem w niebo, czy nie spadnie deszcz. Już trochę inaczej jest na nizinach. Tam widać zwykle, że nadciąga burza, czy też kilkudniowa ulewa. Pomału zasnuwa się niebo chmurami. O wiele gorzej jest w górach. Czasami bywa, że wyjdzie na niebo zniecka i jak olbrzymi jastrząb wypłynie złośliwe chmurzysko. Runie kilkadziesiąt piorunów, zabłyśnie kilkaset błyskawic i następuje oberwanie chmury.

— Co to jest?

— To tak, jakby po niebie płynął staw i ten staw naraz wylał się na ziemię. Płyną całe potoki wody, a ziemia zmienia się w kraj jezior. Rzeki wzbierają tak szybko, że widać, jak rosną. Stoisz nad samą wodą i raz po raz musisz się cofać w tył i w górę, bo woda podmywa ci nogi. Czasem w górskich rzekach wzbiera fala i płynie tak, że widać ją wysoko, jakby ścianę wody. A na falach płyną snopy, stogi, wyrwane drzewo z korzeniami, czasem dom rozwalony, a woda wzbiera i wzbiera. Nie jest już błękitna ani srebrzysta, jest żółta, brura, brudna i rozszalała. Tak zaczyna się powódź. Ludzie biegną nad rzekę z osękami, wylawiają płynące belki, ra-

tują zwierzęta domowe i ludzi, którzy nie potrafili uniknąć powodzi. Na mostach stają warty, które zabraniają przejazdu, a nawet przechodu, bo woda wezbrała tak bardzo, że lada chwila zacznie się przelewać przez most. Woda idzie dróżynami, mniejsze rzeczki toczą wodę w przód, a potem ją cofają, bo nie ma ujścia. W piwnicach domów nadbrzeżnych woda jest naprzód po kostki, potem po kolana, a potem rośnie coraz wyżej. To okropne nieszczęście Basiu, taka powódź.

— Ach, bardzo się zasmuciłam.

— Jednakże nie zawsze tak jest, tak jest bardzo rzadko. Są lata, w których ludzie patrzą i zboża patrzą z niepokojem w niebo, a niebo jest lazururowe i ani chmurki nie ma na nim. Wówczas wychodzą do pracy żniwiarze. Zadźwiewają kosy, zastukają młoteczkami, którymi się kuje te kosy, zaszeleszczą osełki, którymi się te kosy ostrzy i idzie rząd żniwiarzy, a złoty łan kładzie się pokotem. Machają żniwiarze pracowicie, jednostajnie i rytmicznie kosami z prawa w lewo, z prawa w lewo i kłania im się łan. Z tyłu idą kobiety, zbierają kłosa w pęki, a pęki w snopy i wiążą je powróslami. Opodal, na szerokim łanie, pracuje maszyna żniwiarka. Zwijają się ludzie, ażeby zdążyć, aby dokończyć żniw, ułożyć zboże w kopach na ściernisku, a kiedy zboże stoi już w kopicach, ludzie oddychają z ulgą, bo połowa roboty, a właściwie większa jej część jest skończona. Jeszcze tylko trzeba zboże zwieść do stodoły, ale i w tym może przeszkodzić deszcz. I znowu ludzie patrzą w niebo.

— Więc dlaczego od razu nie zwożą snopów?

— Bo zboże musi wyschnąć. Suszy je słońce i przewiew wiatru. Gdyby świeżo po żniwach zboże przywieść do stodół, byłoby ono zawilgłe i mogło by się zepsuć. Przecież w zbożach płyną jeszcze soki, które czerpały z ziemi. Jednakże tego roku wszystko poszło szczęśliwie. Zboża wyschły i zwieziono je, obficie obrodzone, do stodół. Ludzie otarli pot z czoła i założyli spracowane ręce. Nadeszła chwila radosnego odpoczynku i dla ludzi i dla przyrody. Wówczas odbywają się dożynki.

— To jest taka uroczystość?

— Tak jest. Idzie wsią pochód i niesie wieńce, uwite ze zbóż i kwiatów. Jest starosta dożynek i starościna i pięknie postrojone druchny, a kapela, wiejska różnie od ucha. Śpiewają pieśń:

Plon niesiemy plon
gospodarzom w dom...

— Potem na jakimś placyku wiejskim odbywa się zabawa. Tańczą chłopcy i dziewczęta wywijasy, zakrętasy. Szaleje oberek, kujawiak czy krakowiak, a w górach zbójnicki lub krzesany.

— Co to jest?

— To nazwy polskich tańców. Rozbłyskają światła, bo zmierzch już tymczasem zapadł, a zabawa trwa i przyśpiewki dowcipne. Dokuczają chłopaki dziewczętom, naśmiewają się dziewczęta z chłopaków. Gwiazdy patrzą ucieszone na tę uciechę ludzką. Ale zabawa się kończy i jutro zaczyna się znów dzień, dzień nowej pracy...





O SADACH RUMIANYCH OWOCAMI

BASIA jest mieszkanką miasta. Obecnie, na turlacze, z konieczności a potem nie wiadomo, jak będzie. Nie widziała nigdy polskiego sadu, więc trudno jakoś jej o tym opowiadać. A zaczęło się to tak: Basia zapytała?

— Mówisz o moich oczach, że to są niebieskie migdały i wszyscy już teraz dookoła śmieją się ze mnie. I mówią: Basia migdałowa. A czy w Polsce rosną migdały?

— Tak zapytała mała Barbara, a ja byłem zadowolony, bo na dziś zabrakło mi jakoś tematu. Przeto zaraz podchwyciłem to zapytanie i zacząłem mówić:

— Tylko takie jak twoje, Basiu, piękne migdały

rosną w Polsce i to w wielkich ilościach. Inne nie rosną. Nie takie są owoce krajów, w których przebywasz, jak owoce naszej Ojczyzny.

— Czy lepsze, czy smaczniejsze?

— Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Ja tam wolę dobre jabłko od najlepszego daktyla, a soczystą gruszkę od pomarańczy. Daktyle i pomarańcze płyną do nas okrętami. A winogrona, takie dobre do jedzenia, rosną tylko w jednym, najbardziej południowym zakątku Polski, to jest koło Zaleszczyk. Tu i ówdzie przy pieczołowitej pielęgnacji udawały się winogrona i w innych częściach kraju, ale były to wypadki bardzo rzadkie. U nas z owocami odbywa się tak: na wiosnę sad zakwita. Inaczej kwitną niewysokie krzewy wiśni, inaczej pękate jabłonie, inaczej śliwy, inaczej rosochate grusze. Szpalery agrestu zaczynają obradzać owocami, na krzakach porzeczkowych wiszą już długie koraliki małych i zielonych jeszcze porzeczek, a dorodne drzewa dawno zrzuciły już kwiat i obsypały się owocem.

— I można już iść i jeść?

— Nie, nie można jeszcze. Jeszcze owoce są zielone. Najpierwsze czerwienieją i dojrzewają czereśnie, czarne jak oczy mej małej siostrzeniczki Zeni i bardzo słodkie. Potem obrodzą pierwsze jabłka, tak zwane papierówki. Bardzo mocno pachną i są soczyste i sypkie. A potem wszystkie drzewa zaczynają rodzić na wyścigi. Co tydzień, co dwa tygodnie są nowe owoce: wiśnie, śliwy czarne, śliwy żółte, jabłka

najróżniejszych gatunków i najróżniejszych gatunków grusze. Są takie jabłka, które zaraz trzeba zjeść.

Bardzo się to Basi spodobało. Z przekonaniem skinęła kilka razy główką:

— A to świetnie:

— Są takie gruszki, które również należy zaraz zjeść bo by się zepsuły. Ale jabłek i gruszek jest wiele, wiele najróżniejszych gatunków. Jedne są o smaku zupełnie słodkim, inne są kwaskowate, jeszcze inne mają posmak „banana“. Ale są jabłka i grusze takie, które nie dojrzewają na drzewie. Zrywa się je i chroni pieczołowicie opakowane w sianie. Leżą one miesiącami i dojrzewają. Są gatunki, które dojrzeją akurat na Boże Narodzenie i znajdziesz je na samym środku wigilijnego stołu. Ba, ale są i takie gatunki, które śpią cicho w sianie i dojrzewając sobie spokojnie, pachną dookoła, aż wreszcie dojrzeją — wyobraź sobie — dopiero na Wielkanoc. I one to na wielkanocny wywędrują stół. Czasami ludzie mówią: „te jabłka dotrwają do nowych“, i istotnie dotrwają.

— To bardzo dobrze!

— To są owoce nie tylko smaczne i wonne ale i piękne. Mają wspaniałe kolory. Owoce właściwe ziemiom po których stąpasz obecnie są smaczne, a na przykład pomarańcze mają radosną barwę. Ale nigdzie tutaj nie spotkasz takiej gry kolorów, takich najróżniejszych odcieni, jak na naszych owocach. Już sama ich barwa, tych naszych owoców, jest przesmaczna. I tak sobie owoce dojrzewają, a w domu trwają historie, że można oszaleć.

— Co ty mówisz? Co to za historie, od których można oszaleć.

— Zaręczam ci, że nie mam zamiaru szaleć, kiedy przede mną na talerzu leżą pierożki z wiśniami, bogato oblane śmietaną. Wtedy jestem zajęty czym innym, mianowicie, obcieraniem śmietany, która się po brodzie leje. Ale tymczasem, gdzieś w jakimś zakątku sadu, stawia się olbrzymi kocioł i sypie się do niego czarne śliwy-węgierki. Dużą drewnianą warząchwią miesza się je, a pod kotłem płonie ogień. W ten sposób gotuje się powidło, czarne i parujące.

— Ach, jakąż to piękna bajka!

— Tak, — powiadam z goryczą — piękna jest ta bajka. Ale w tym okresie czasu mało mają do gadania w domu mężczyźni. Spytasz się: „a co dziś będzie na obiad?“ to otrzymujesz odpowiedź: „nie przeszkadzaj, czy nie widzisz że dreluję wiśnie?“ Oszaleć można!

— A co to jest drelowanie wiśni?

— Widzisz, to się tak cudacznie nazywa, żeby trudniej było zgadnąć, a w gruncie rzeczy to najzwyczajniejsze wyjmowanie pestek z owoców. A potem owoce maszerują do garnka i znów długie dysputy nad tym: ile cukru, jak długo gotować, w którą stronę mieszać, oraz tym podobne zmartwienia. Ostatecznie wiśnie są już ugotowane, czy usmażone, bo sam nie wiem jak to nazwać i kładzie się je pieczolowicie do słoików. Potem słoiki zawiązuje się papierem nieprzemakalnym i maszerują one do spiżarni. Czy myślisz Basiu że dadzą spróbować? O, nie,

nie dadzą! Jak sam człowiek nie zwędzi, to nic z tego nie będzie. A czy myślisz, że jak się skończą afery z konfiturami z wiśni, to już naprawdę jest koniec? Bynajmniej. Następuje cała seria innych konfitur i kompotów. Z jabłek, z gruszek, z agrestu, z moreli, z porzeczek itd. itd. A ty, powiadam ci, a ty, będąc panem domu, nie masz nic do gadania, rozumiesz Basiu?

— Ja nie mogę być panem domu, ja nie chodzę w spodniach...

A to dowcipnisia!

— Po mału napełniają się półki w spiżarni najróżniejszymi słoikami. Spiżarnia staje się zamożna. Tymczasem minął lipiec i sierpień, zaczął się wrzesień, a owoce są ciągle i ciągle. I tak przykro robi się człowiekowi, jak już ostatni owoc spadnie z drzewa.

— Oczywiście, przecież to zrozumiałe.

— Sad jest duży. Trzeba go strzec. W sadzie stoi budka, a w niej mieszka stróż i duży pies goni po sadzie.

— Dlaczego? Po co stróż i po co pies?

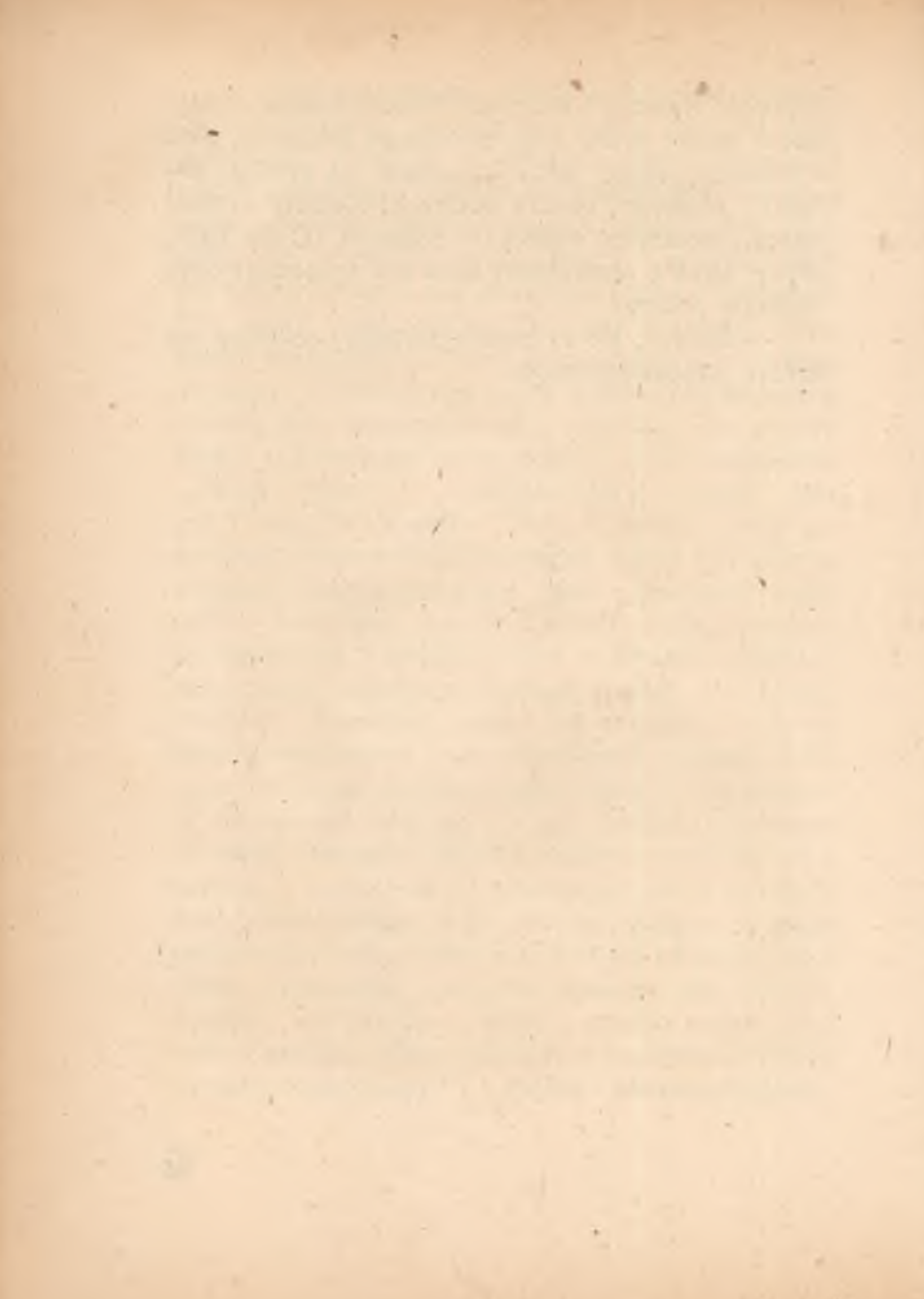
— Bo widzisz, Basiu, owoce to łakoma rzecz. Są niestety źli ludzie, którzy chcieliby je ukraść. Ale nie tylko są źli ludzie, są i psotne chłopaki, które też mają chętkę na cudze jabłuszka i gruszki. Stróż nie śpi, chodzi po ogrodzie, a pies za nim krok w krok. Noc jest pogodna i księżyc świeci tak jasno, że jest widno jak w dzień. Tylko że dzień jest złocisty a noc jest srebrna. I tak chodzi stróż i chodzi...

— I chodzi i chodzi i chodzi... ale dokąd doszedł?

— Poczekaj. Stróżowi się nudzi, ziewa i radby zdrzemać. Rozgląda się dookoła. Nagle przystaje i patrzy zdziwiony. Gdzieś na nieboskłonie wypełza wąska chmura i staje się coraz wyższa i coraz bardziej się rozszerza. Stróż patrzy i oczom swoim nie wierzy, a serce mu się mocno tłucze w piersiach. Nie czeka dalej, pędzi uliczkami w stronę, gdzie mieści się strażnica. Łapie za sznur dzwonu, dzwoni na alarm. W kilka minut potem słychać odgłos trąbki, a jedną część miasteczka ogarnia wrzask i łuna oblewa niebo, a chmura jest coraz wyższa i coraz czarniejsza. „Pożar! pożar!“ — krzyczą ludzie i pędzą i biegną i lecą. Na ratunek. Pożar, to jeszcze okropniejsza rzecz niż powódź. Przybiegają ludzie w kaskach, dopinają surduty, zakładają pasy z toporami, brzmi syrena alarmowa, gra przeraźliwie trąbka, odzywa się dzwon na kościele, ludzie w bieliźnie, ludzie z narzuconymi płaszczami krzyczą, zwołują, się i biegną zdyszani. Zawarczał motor od sikawki, zabłysły światła reflektorów i oto motopompa pognęła przez rynek w ulicę, uliczki, między płoty — do pożaru. W miasteczku nikt już nie śpi. Dzieci przytulone do siebie płaczą w kątach. Młodzież wymyka się z domów i pędzi, nie wiadomo po co, czy po to, żeby przeszkadzać, czy po to żeby pomagać. A pożar przerzucił się już z domu na stodołę i szaleje, sypie iskry i płomień, żar jest wokoło, tak silny że dostać nie można i swąd i wrzask wielu setek ludzi i gwizdki straży pożarnej, a po chwili strumień sikawki skierowany w środek płonącego domu.

Ratować! Ratować! Ratować! Przed domem wyciągnięte jakieś graty leżą porzucone bezładnie. Stół z odłamaną nogą, łóżko rozebrane na prędcę, poduszki, pierzyny, obrazy świętych. Kobiety i dzieci płaczą, mężczyźni walczą z pożarem. Coby było, gdyby stróż z owocowego sadu nie spostrzegł dość wcześnie pożaru?

— Bardzo, ale to bardzo porządny człowiek ten stróż z owocowego sadu.





K. Kemabinski



O SKOKACH PRZEZ SKORĘ

WYOBRAŹ sobie Basiu, że już wróciłaś do Polski, że mieszkasz w mieście, że nadeszły dni pełne deszczu, że za kilka tygodni, a może za kilka dni upadnie śnieg, że chłód wieje od ścian i od okien, że mieszkanie staje się wilgotne i nieprzyjemne. Drżysz, a mamusia wkłada na ciebie sweterek, bo zimno ci jest. Ale oto przynoszą robotnicy stertę węgla, czarnego i lśniącego, radosnego węgla. Otwierają się drzwiczki pieca, na rusztach kładzie się kilkanaście cienkich patyczków, potem kilka drewnianych grubszych. Ręka trzyma zwinięty papier, druga ręka papier ten podpała, a papier płonie, jak pochodnia. Ręka tę papierową pochodnię wkłada pod drewnianka, ułożone na rusztach i z kolei drewnianka zaczynają płonąć płomieniem ruchliwym, migotliwym i rado-

snym. Potem znów ręka na wierzch tych płomieni kładzie czarne, lśniące bryłki. To węgiel, Basiuniu. Nakładzione jest pełne palenisko, a płomień z drzewa przenosi się na węgiel, wdziera się w głąb węgla, rozpala go i buszuje. Przymknięte wewnętrzne drzwiczki pieca, czerwienieją od ognia. A potem piec się zamyka zewnętrznymi drzwiczkami. I piec chłonie w siebie ogień, płomień, ciepło, nabiera je do kafli, z których został zbudowany. Smuga ciepła idzie na pokój i mamusia zdejmuje już sweterek z ciebie; bo niepotrzebny, bo już w pokoju zaczyna być przyjemnie...

Basia klaszcze w rączki, Basia się cieszy tym, że jest ciepło i że jest przyjemnie.

— Ale nie jest za ciepło, prawda? W tym pokoju nie potrzeba szukać cienia, nie potrzeba pić wody, nieprawdaż?

— Nie, Basiu, nie potrzeba. W tym pokoju, ogrzonym węglem, ciepło jest przychylne. To nie jest upał, który każe człowiekowi myśleć o ucieczce w głąb ziemi... A właśnie o głębinach ziemi polskiej chciałem ci opowiedzieć. Tyle już mówiłem bajek o tym co się dzieje na powierzchni i jak to wygląda, że musimy zejść w dół, w głąb i przypatrzeć się, co się tam dzieje.

— Jakto, mamy zejść w głąb ziemi?

— Tak jest. Podaj mi rękę i chodź, pójdziemy.

— Basia odruchowo podaje mi rączkę, tak jakbyśmy naprawdę mieli wstać, wyruszyć, iść i zejść pod ziemię. A tymczasem my siedzimy oboje, ona naprzeciw mnie, a słońce pali ponad daszkiem, a

słońce piecze Nielitościwie i pot zcieka z mojego
czoła choć nic nie robię, nie ruszam się, tylko siedzę.

— Na Górnym Śląsku, w Zagłębiu Dąbrowskim,
w Zagłębiu Krakowskim, tak jak nad ziemią rośnie
złote zboże, tak pod ziemią rośnie czarny węgiel.

— Dla czego rośnie?

— Bo węgiel zanim stanie się węglem rośnie
długo, aż urośnie i stanie się węglem. O tym po-
wiedzą ci w szkole. Ja natomiast chcę ci opowie-
dzieć nie tylko o węglu, który już urósł, ale o czło-
wieku który z tym węglem się mociuje, biedzi, mo-
zoli, wierci w nim krużganki czarne, draży czarną
skałę, działa tak, że na palenisku kaflowego pieca
w twoim pokoju płonie żywy ogień i sprawia, że jest
ci ciepło. Ten człowiek walczy i pracuje. Ten czło-
wiek — powtarzam — nie tylko pracuje, ale i wal-
czy. Pracą draży czarną skałę, walką wdziera się
w głąb ziemi a czycha na niego nie tylko trud i pot
ale i niebezpieczeństwa.

— Mów, proszę, to jest bardzo ciekawe.

— Na ziemi wyrosły budynki, w których ruch-
liwe maszyny mierzą obrotami szybkich, nieustan-
nych kół sekundy, minuty, godziny, dni, miesiące i
całe lata. Windy zjeżdżają w dół i wyjeżdżają w górę.
Na ziemi dookoła nie rośnie ani żyto, ani łubin,
ani jabłonie, czy grusze. Jest czarno i pełno w po-
wietrzu gęstego pyłu, który jest jak mgłą, prawie
tak jak hamsin tutaj, tylko że tamten, ten nasz
hamsin jest czarny i spokojny, tu jest żółty i wrogi.
Pod spodem zaś, pod ziemią idą sztolnie, szyby i
krużganki, cały labirynt. Panuje wieczna noc, a spe-

cialne pompy muszą dostarczać tam powietrza, boby się ludzie udusili. Sufity niskich kruźganków podparte są drewnianymi kołami, tak jakby kolumnadą...

— Dlaczego?

— Żeby się nie zawaliły sufit, żeby nie runęły na ludzi. A ludzie idą w głąb ziemi, jak krety i drażą i świdrują i odrzucają poza siebie kamień. A co wydrążą dalej, głębiej kruźganek, już podpierają go słupami. Słupy te nazywają się „stemple“, a o kruźganku który jest już podparty, mówi się że jest „podstemplowany“. Wózki na żelaznych szynach napełnione są grudami węgla, a potem popychane płyną pod ziemią, jak czarne łodzie ku windom. Winda zabierają węgiel w górę i wysypują na powierzchni ziemi w olbrzymie zwaliska. A zwaliska te nazywają się: hałdy,

— A tam w dole jest ciemno i strasznie?

— Jest ciemno i strasznie. Górnicy idą pod ziemią z lampami, a światła rozpędzają cienie i pomagają pracować. Światła nie tylko są po to aby świecić, ale są również i po to, ażeby ostrzegać.

— Tego nie rozumiem,

— Zaraz ci wyjaśnię. Największymi wrogami górnika pod ziemią są woda i gaz. Woda wpada w sztolnie i kruźganki, zalewa, topi i uśmierca. Ale woda przesiąka powoli i na ogół tak dostrzegalnie, że można w czas się przed nią uchronić i zabezpieczyć. Gorszy wróg — to gaz. Przychodzi podstępnie, bezwonną, wydobywa się gdzieś ze szczelin, niewiadomo jakich, niewiadomo których, otacza, obejmuje, truje i uśmierca. A najgorszy gaz jest taki, którego

nie czuć. Jednakże taka jest sytuacja: górnik to leżąc, to klęcząc świdruje w krużganku ścianę. Pracuje elektryczny świder, górnik odrzuca w tył wyrąbane kamienie węgla. Koło niego stoi lampa, nieodstępny towarzysz. Nagle lampa ta zaczyna mru-gać, przygasać i szaleć. Górnik spokojnie odkłada świder, wyłącza prąd, zostawia narzędzia, wycofuje się tyłem aż do miejsca, w którym można się podnieść i powiada: „Gaz“!

— Jakie to straszne!

— Ale już i innym górnikom przygasają lampy. Już wszyscy wiedzą, że jest gaz. Odchodzą z wolna. Są uratowani, bo na czas spostrzegli.

— Co za szczęście! A gdyby nie spostrzegli?

— Gdyby nie spostrzegli, byłaby katastrofa. Wytruliby się. I gazety pisałyby o tym długo i szeroko w rozlicznych artykułach, tylko, że żaden artykuł nie przywróciłby im życia. Dość się jeszcze o tym nasłuchasz w życiu i naczytasz, Basiu. Płyną wagoniki pod ziemią, świszczą windy latające w szybach, węgiel wypływa na wierzch, pod światło słoneczne, które widzi po raz pierwszy od wielu dziesiątek tysięcy lat. Potem duże, prawdziwe wagony wiozą go po stalowych wstęgach kolejowych torów wzdłuż i wszerz przez Polskę. Zajechał samochód ciężarowy przed twój dom, czarni ludzie przynieśli sterty węgla do ciebie, do Basi, aby tobie, Basiu, było ciepło. I tylko dlatego żywy ogień buszuje w palenisku . . .

— To bardzo czarne i bardzo jakieś smutne.

— Są i wesołe kopalnie. A najpiękniejsza i naj-

weselsza to kopalnia soli w Wieliczce. Najpiękniejszą kopalnią, Basiu, na całym świecie, to właśnie jest kopalnia soli w Wieliczce. Tam górnicy pracują jak w prawdziwej bajce, jak w srebrze, jak w szkle, gdyby szkło można było drążyć, jak w lśniącej wodzie, gdyby się przez wodę można było przekopywać. Są tam — pod ziemią — nie tylko krużganki i szyby, ale kaplice, ołtarze, rzeźby, jezioro podziemne i pełno, pełno lśnień, jakby cała kopalnia składała się z kryształów bo zresztą z kryształów się składa. Tylko pompy pracują nieustannie, wydźwigują wodę z wnętrza na wierzch ziemi i potem płynie ona w kraj. Bo gdyby została, zatopiłaby kopalnię.

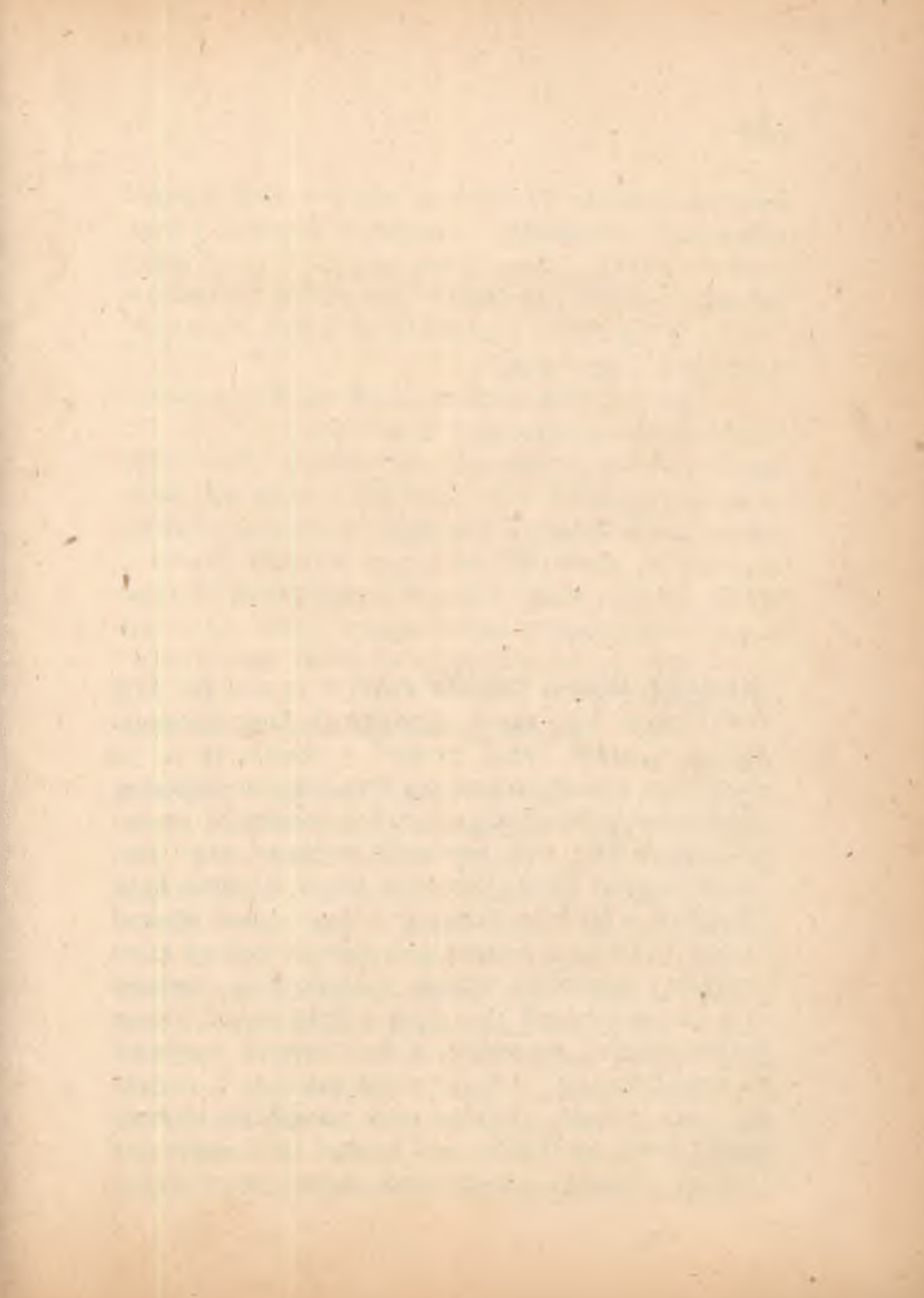
— Ach, więc tam się pracuje tylko po to, żeby było pięknie ?

— Nie, Basiu, nie tylko po to się tam pracuje. I tam są wagoniki i tam są windy i tam bryły soli idą na wierzch ziemi. Tylko że węgiel opala, ogrzewa sprawia że poruszają się różne maszyny fabryk i lokomotywy dalekich pociągów i jeszcze bardziej dalekich okrętów, a te białe bryły wielkie sprawiają, że potrawy nasze są smaczne i że nasz ludzki organizm ma odpowiednią dawkę soli ...

— Jestem bardzo zadowolona, ale miałeś mówić o skokach przez skórę.

— W narodzie górniczym są różne wierzenia, legendy, duchy i zwyczaje. Do takich zwyczajów właśnie należy „skok przez skórę“. O duchach legendach, wierzeniach opowiedzą ci ludzie którzy znają te sprawy. Ja chcę ci tylko o tym właśnie

skoku przez skórę opowiedzieć. Górnik, sztygar, czy nadsztygar, pracują pod ziemią, ale zanim górnik zostanie sztygarem, musi odprawić obrzęd, który się nazywa „skokiem przez skórę“. Równocześnie na górników kształcą się w Krakowie młodzi ludzie, którzy potem będą inżynierami górniczymi lub hutniczymi. W Krakowie istnieje Akademia Górnicza, która kształci właśnie tych ludzi. I wszyscy ci, którzy pracują pod ziemią, i ci którzy uczą się w Akademii będą stanowić jedną wspólną, wielką rodzinę górników. Zaś patronką górników jest święta Barbara i dzień jej imienia 4. grudnia jest górniczym świętem. Wówczas to odbywają się bardzo wesołe uroczystości w Krakowie i „skoki przez skórę“. Młody człowiek który przeskoczy przez lisią skórę, uważany już jest za członka wielkiej rodziny górniczej.





O B A B I M L E C I E

SŁOWO baba — mówi Basia — jest brzydkie, a dlaczego razem, to tak pięknie wygląda?

Nie odpowiadam i patrzę tylko na Basię. Czekam, co się też dalej w jej głowinie wymarzy, co w jej fantazji zabrzmi, o co zapyta. Nie odzywam się więc ciągle, milczę, uśmiecham się tylko. Basia bardzo głęboko myśli głowiną swoją, czupryną czarną i niebieskimi migdałami. Rozkłada potem bezradnie ręce.

— Piękne, bardzo piękne są słowa: dziewczyna i kobieta. Baba, to brzydkie słowo. A „babie lato“, to znów bardzo piękne.

Albowiem zapowiedziałem Basi, że opowiem jej dzisiaj o babim lecie.

— Nie słyszałam nigdy o czymś takim. To jest zastanawiające.

— Wiem Basiu, że o wielu rzeczach, które dla nas, starszych, są już tak z nami zrosnięte jak nasze serca, które dla nas są tak jasne i takie prawdziwe, jak nasze twarze, — nie słyszałaś. I dlatego właśnie opowiadam ci te bajki — nie-bajki.

— Więc musisz mi natychmiast powiedzieć, co to jest babie lato, albowiem nie mogę dłużej czekać.

Jeśli Basia „nie może“, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko mówić dalej.

— Jakoś dość trudno mi wytłumaczyć ci, Basiu, co to jest to właśnie babie lato. Bo to ani zwyczaj, ani obyczaj, ani legenda, ani tradycja, ani nawet pora roku. To jest coś tak nieuchwytnego, jak poezja. Przychodzi wrzesień i nic się więcej w powietrzu nie dzieje, jak tylko cisza. Cisza ta jest tak bardzo złota i tak bardzo błękitna, że trudno sobie wyobrazić temu, kto jej nie widział, kto jej nie spostrzegł, kto jej nie pokochał.

— A czemu o takich pięknych rzeczach mówisz tak smutno? Tak ślicznie zaczyna się ta bajka, a ty jesteś taki zasmucony?

— Powiem ci o tym później, Basiu, później ci to wytłumaczę.

Widocznie zamilkłem, najwidoczniej zamyśliłem się na nowo, bo oto uczułem na swojej ręce malutką rączkę Basi. Usiadła ta rączka na mojej ręce tak cichutko, jak motyl. Zaraz pomyślałem o tym, że ta rączka usiadła na mej ręce jak motyl i pomyślałem o najpiękniejszych motylach polskich, o Paziu Że-

glarzu, i Paziu Królowej. Jestem — myślałem — teraz jak Paż Królowej, a królową moją jest Basia, która w tej chwili mnie słucha; jestem w tej chwili, jak Paż Żeglarz, albowiem płynę w przestworza marzeń. Rączka Basi jest jednak natarczywa i skwapliwie chcąca słuchać. Przeto mówię :

— Ścierniska są żółte i gdzieś zieleni się tylko koniczyna. Jeszcze bardziej żółcieją płachty łubinu, szerokie i tak na pozór niepotrzebne. W sadach ostatnie dojrzewają owoce i spadają głucho w trawę, która już drugi raz urosła. Tylko pola kartoflane, tylko łąny buraczane są jeszcze zielone, rosną i dojrzewają szybko. Nie, zresztą nie tylko to jest zielone — i sady ciągle zielenieją jeszcze i zбочa gór. Ale jest tak jakoś inaczej, niż na wiosnę i w lecie. Tak jakoś żółto, żółto i miodno, mimo że niebo jest błękitne, jak nigdy. To już jest jesień Basiu. Nie wiem jakby ci to określić barwami.

— Więc zastanów się, pomyśl i powiedz.

— Widzisz — ciągnę powoli, — gdybyś wzięła wielką dzieżę z miodem, nalała do niej wiele, wiele błękitnej wody z rzeczki, która płynie tuż obok poza szpalerem leszczyny obrodzonej orzechami, rozmięsiła to wszystko jak ciasto na chleb i wylała w powietrze — to wtedy miałabyś wyobrażenie jak wygląda polski wrzesień. Jest słodko, cicho, błękitnie, żółto i jakoś uroczyście. Po niebie z rzadka błakają się małe, bielutkie chmurki. Pogoda jest tak trwała, jak serce człowieka, który umie kochać. Po ścierniskach, po zżętych zagonach, chodzą krowy i dzwonieniem napełniają powietrze. Na miedzach

pasterze rozkładają ogniska, a dym pnie się wysoko w górę słupem prostym i strzelistym i wygląda to tak, jakby te słupy podpierały niebo. To wszystko oznacza znów przerwę w gorączkowej pracy człowieka. Zboża bowiem zwiezione są do stodół, albo stoją w stogach, ziemniaki jeszcze nie dojrzały i czekają tylko na to, aby je pracowite motyki zaczęły wydobywać spod zagonów. Jest znowu chwila odpoczynku. Odpoczywa natura i odpoczywa człowiek.

— Ale o babim lecie...

Leciutko, przestrzennie, powiewnie płynie wiatr. wiatr lekki, życzliwy i kojący. Zaszumi w gałęziach drzew, zaszeleści i przewieje wśród krzewów i błędzi i niesie i raduje i ukaja. Ale ten wiatr nie jest sam. Ten wiatr niesie na swoich skrzydłach dziwne obłoki. Są to białe pajęczyny, szerokie jak woale, jak płachty białej rozrzedzonej gazy jeszcze bardziej cienkiej niż najcieńsza gaza, taka, którą się kładzie na rany.

— I płyną sobie, płyną te pajęczyny w dal, nie wiadomo dokąd, bezkresnie, bezgłośnie i w taki sposób, jakby to były zjawiska. Pająki rozsnuwają pajęczynę na drzewach, na krzewach i na źdźbłach traw. Podnosi je wiatr i zabiera z sobą...

— I znów zamilkłeś...

— Albowiem nie mogę ci tego nie powiedzieć, a tak ciężko mi powiedzieć. Dokończymy jednak tamtego obrazu. Dymy, rosnące z miedzy, podpierają niebo. Pasterze pędzą krowy i śpiewają przeciągłe melodie. Gdzie niegdzie rozlegają się dźwięki fujarek, ponieważ prawdą jest, iż w niektórych okolicach

pasterze grają na fujarkach. Wrzesień, to może najpiękniejszy miesiąc Polski.

Splotłem ręce na kolanach i starałem się nie patrzeć w basine oczy. Tak mówiłem dalej:

— Aż przyszedł taki wrzesień, że z polskiego nieba, na polską ziemię spadły niemieckie bomby. Cisza zabrzęczała nie poszumem pszczoł ale war-kotem krzyżackich bombowców. Niebo było pogodne, świeże i białe chmurki wałęsały się po nim. A za chmurkami białymi kryły się srebrne samoloty, nienawistne, zbrodnicze, łajdackie. Ziemia była sucha i twarda, ścierniska mówiły o odbytych dopiero co żniwach. Jakżeż to zawsze życzliwe, to zawsze tak święte niebo było w owym wrześniu nieprzychylnie Polsce! Jakżeż pracowite, karmiące ludzi ścierniska były owego roku nieżyczliwe Polsce! Leciwały niebem samoloty, szły ścierniskami czołgi, aby mordować Polaków. Było tak strasznie, beznadziejnie ludziom, tak wielkie otwarły się przed nimi nieszczęścia, że trudno co o tym opowiedzieć, bo to byłoby tak, jakbym wziął twoje serduszko w obie swoje dłonie i ścisnął. Zapytasz się o to, kiedy dorosisz, dziś mówię ci o tym po to, abyś nigdy nie zapomniała.

Ta rączka, która kładzie się w tej chwili na mojej ręce, nie dopomina się o mówienie, nie przerywa milczenia. Ta rączka pokrztępa i współczuje mi. Łagodzi, wyraża zrozumienie. A usteczka Basi szeptaają same do siebie, cicho, monotonna i zapamiętliwie:

— Babie lato, babie lato, babie lato...

— Mówię:

— Nie wiem skąd pochodzi nazwa „babie lato“. Tak łatwo mógłbym się być dowiedzieć, pytając uczonych, lub czytając mądre książki. Ale nie chciałem. Nie umiem ci przeto wytłumaczyć. Dość, że tylko musisz widzieć obraz jaki ci kreślę i nic więcej. Kiedy wrócisz do Polski, sama zobaczysz. Ja tylko myślę, ciągle myślę o tym, że owe pajęczyny babiego lata płynące w dal, nie wiadomo dokąd, bezkresnie, bezgłośnie i w taki sposób, jakby to były zjawiska, — były jak płachty białej, rozrzedzonej gazy, jeszcze bardziej cienkiej niż najbardziej cienka gaza, taką się kładzie na rany. A ran w Polsce wówczas było tak dużo, tak dużo i tyle gazy było potrzeba...

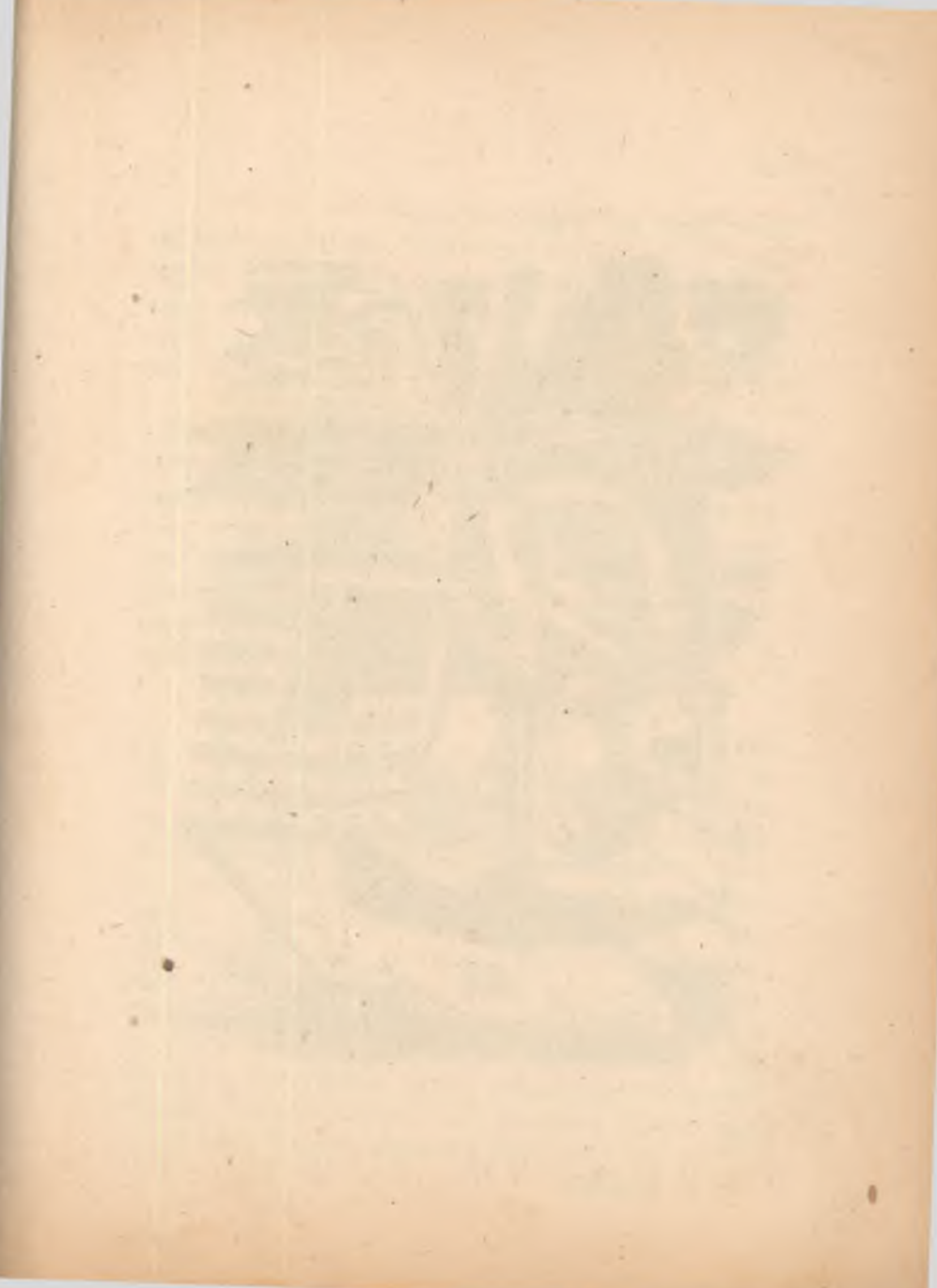
— Nie zapomnę o tym.

— I nie sądz, że o tej pajęczynie i o ranach, to taka tylko opowieść, baśń, bajka. Jeszcze zanim wynaleziono gazę, rany okładano pajęczyną. Zwilżano chleb w ustach, mieszano wilgotny chleb z pajęczyną i tym opatrunkiem okładano rany, a rany się goiły. Ileż to razy w dziejach naszego kraju, naszej ziemi, trzeba było zbierać pajęczyny i ugniatać z chlebem! Taka dola: Dziwne to jest nieprawdaż?

— Bardzo dziwne...

— A ja właśnie myślę o tym, że babie lato płynie wśród polskich wrześni jak obłoki, które zeszyły z nieba na ziemię. Rany, zadane w babie lato, nie mogą być nieuleczone, albowiem polski wiatr niesie płachty pajęczyny, jeszcze cieńszej niż gaza, którą się kładzie na rany.





O B U R Z Y N A M O R Z U

CZYTAJ, Basiu uważnie każdą wzmiankę o ludziach morza. To znaczy o polskich marynarzach. Nad polskim morzem, nad Bałtykiem żyje również lud rybaków. Chcę ci opowiedzieć o marynarzach, o rybakach i o mieście portowym, które się nazywa: Gdynia.

— Ja już wiem dużo o Gdyni. Bardzo lubię, jak mi czytają, czy opowiadają o naszych marynarzach. Mów jednak, mów ciągle i dużo, bo bardzo lubię słuchać o tych rzeczach. A chciałabym ci się zapytać, dlaczego zapowiedziałeś mi, że będziesz mówił o burzy na morzu?

— Chcę opowiedzieć ci nie o takiej burzy, która maści morskie fale, rzuca bryzgami na brzegi, szaleje, kłębi się, uderza z wściekłością, pochłania i uśmierca ile razy tylko pochłonać i uśmiercić jej

się uda. Ale może inaczej zaczniemy tę bajkę, niż inne. Może ją opowiem w sposób bardziej osobisty?

— Nie rozumiem.

— Zaraz, zaraz! Dotychczas, kiedy ci mówiłem bajki biało-czerwone, stałem jakby na uboczu tych bajek. W ten mniejwięcej sposób jak człowiek który widzi, patrzy na coś i opowiada o tym, na co patrzy i co widzi. Teraz ja sam w swojej własnej osobie spróbuję wplątać się w tę bajkę i wziąć w niej udział bardzo zresztą skromny: zachwyconego widza.

— To bardzo dobrze — Basia wyraża swoje zadowolenie i niezliczoną ilość razy potakuje głową. Basia jest moją dobrą przyjaciółką i dlatego darowuje mi to, że sam włączę do swoich bajek.

— Pierwszy raz nad polskim morzem, Basiu, byłem 1923 roku. Byłem w wiosce, która się nazywała Gdynia. Kilkanaście chałup, jakieś drzewa rosnące gdzie niegdzie, dużo piachu, drewniany pomost wysunięty jak język w zatokę, fale kładące się na płaski brzeg. I tylko gdzieś tam rozkopany kawał ziemi, gdzieś wapno gaszone do budowy, gdzieś stojące sterty czerwonych cegieł. Po morzu pływają żaglówki i łodzie rybackie, nie ma właściwie żadnego portu, nie ma właściwie żadnego miasta, jest tylko zatoka i wieś, jest polskie morze, a nad nim polskie plemię które się nazywa Kaszubami.

— I co dalej?

— Drugi raz byłem w 1927 roku nad morzem. I już przetarłem oczy, nie wierząc im, własnym swoim oczom nie wierząc. Tak się tam dużo zmieniło. Jeszcze stały wiejskie chałupy, jeszcze piach plątał

się pod nogami, ale już dworzec kolejowy stał wielki, ulice długie powyrastały, wystrzeliły wysoko nowe domy. Stał taki dom nowiuteńki, piękny, a dookoła niego jeszcze rosło żyto. Albo stała w zbożu tablica, a na niej napis: „Ulica“ i nazwa, jaka to ma być ulica. Bo ulicy nie ma jeszcze, dopiero będzie. Wobec tego już stoi w zbożu tablica i zapowiada, że taka a taka ulica w tym miejscu ma być i że będzie. To było bardzo zabawne widowisko. Stały te tablice jak strachy na wróble...

— A co się z nimi dalej działo?

— I o tym będę mówił, poczekaj jednak, niech powrócę do owego okresu. Więc w 1927 roku móło jest ciągle drewniane, ale szerokie i długie. Po morzu pływają już nie tylko żaglówki i łodzie rybackie, ale zawijają już statki. Zaś to, co się nazywa portem, już nie tylko ożywa, ale w pełni żyje. Wykopano w piachu głębokie baseny i kanały. Na brzegu stoją takie duże jakby skrzynie z betonu...

— Po co?

— Dlatego, aby je napełnić piaskiem i zanurzyć w wodę. Stanowić one bowiem mają obramowanie kanału czy basenu, a potrzebne są po to, aby piasek nie obsypywał się z powrotem we wodę. Chodziłem, patrzyłem, dziwiłem się i radowałem, jak też to ta mała Gdynia rośnie z dnia na dzień. Bo doprawdy, Basiu, z dnia na dzień można było w Gdyni coś nowego zobaczyć, a cóż dopiero za rok!

— Proszę: co za rok? co za rok?

— Za rok? stała więc w zbożu tablica, jak strach na wróble. I przyjeżdżam za rok i szukam

tej tablicy. „Gdzież ona jest?“ — zapytuje samego siebie. To tak coś wyglądało, jak czary. Nie ma tablicy nie ma zboża, a w tym miejscu jest ulica. I nazywa się właśnie tak samo, jak to o niej mówiła tablica; tablica nie była strachem na wróble, była dobrą i prawdziwą wróżką; wywróżyła zbożu, że zniknie, wywróżyła ulicy że powstanie.

— A jak to powstawało?

— Nie, Basiu, tablice nie wołały „stoliczku nakryj się!“ i ziemia, jak ten czarodziejski stolik, nie nakrywała się sama gmachami, które ją przecież gniotły. Gniotły, ale zarazem cieszyły. To wszystko nie działo się samo. To sprawiali najwięksi czarodzieje: ludzie pracy, ludzie planu, ludzie obliczeń, ludzie twórczości. A wszyscy ci ludzie byli Polakami. To bardzo wielka nasza chluba, Basiu, Gdynia. Pewnego dnia skoszono zboże. Potem rozkopano piach, zaczęto murować fundamenta, montować olbrzymie szkielety z żelaza jeden koło drugiego. Potem w drewniane rynny zaczęto spuszczać beton. Pracowali ludzie, uwijały się maszyny. I tak stawał jeden rząd z żelazo-betonu i naprzeciwko drugi rząd z żelazo-betonu. A równocześnie przyszli inni ludzie, rozkopali po środku piach, nasypali kamieni, nałożyli na płasko warstwę betonu i zalali asfaltem. W dwojaki sposób powstawała ulica. Pierwszy, to beton rosnący szkieletowiskiem w górę, drugi sposób, to beton kładący się płasko na ziemi...

— Basia zastanowiła się chwilę, zmarszczyła czoło, najwidoczniej jednak zrozumiała. Wobec tego mogłem mówić dalej.

— Woda wrzynała się coraz głębiej w ląd i po tej wodzie pływały okręty i statki, a coraz ich więcej było i coraz były większe. Wodę z zatoki przeciął falochron, długi i wąski, zakończony latarenką z migotliwym światłem, — to było wejście do portu. Jak stalowe dźdźownice, ułożyły się na brzegach tory kolejowe, a było ich dużo, coraz więcej i coraz bardziej były splątane, rozbiegające się i wracające ku sobie, krążące, okalające, odbiegające. Ale splątane były mądrze, tak, aby niosły tylko korzyść portowi i ludziom. Nad nimi wyrósł dworzec morski, dworzec który miał dziwny peron, bo na jednym peronie wysiadało się z pociągu, a na drugim peronie na statek się wsiadało. Gdzie indziej nad basenami również wyrosły czarne i cienkie szkielety ruchome, obrotne i sprytne — to dźwigi towarowe. Cały wagon węgla jak piórko unosił się w powietrze, podlatywał ponad pokład statku, pochylał się — tam, w górze, w powietrzu — nad pokładem statku i struga węgla spadała z poszumem i zgrzytem, jak czarny wodospad, w głąb magazynu okrętowego. Takie to były cuda, że człowiek dorosły chodził, jak w bajce i własnym nie wierzył oczom. Ale były to cuda służące człowiekowi w sposób pracowity, wytrwały i ofiarny.

Zatrzymałem się. Ogarnęła mnie tak wielka ilość wspomnień, szczegółów i epizodów tej białoczerwonej bajki o Gdyni, że nie wiedziałem jak z nich wybrnąć. Basia zauważyła że nie wiem co mówić, widocznie minę miałem bezradną.

— Dlaczego nie mówisz dalej?

— Odjadę stąd, Basiu, a ty się pytaj ludzi dorosłych i dowiaduj. Nie sposób, abym ja ci sam zdołał to wszystko opowiedzieć. Musiałbym napisać całą grubą książkę z wielu setkami ilustracji, albo musiałbym opowiadać całe dni i noce, tak bardzo jest to piękna bajka. A przecież wiesz że muszę odjechać. Chcę ci tylko powiedzieć, że Gdynia, że port służyły nie tylko polskiemu życiu, że nie tylko płynęły tam statki z towarami i maszynami, że nie tylko przyływały łodzie rybackie z dalekich połowów ale że również port służył obronie polskiego życia. Wzgórze nad portem nazywa się Oksywie. Tam było dowództwo floty polskiej, a u podnóża w basenie i w zatoce pływały okręty wojenne.

Wszystkie te okręty były wspaniałe nie wielkością swoją, nie liczbą, ale bohaterstwem.

— Wiem o tym, słyszałam.

— Aż pewnego dnia powstała burza na morzu. Nie wiatr ją wzniecił, nie fala. Nie huragan i nie chmury, zionące piorunami. Człowiek ją wzniecił, zły i zbrodniczy...

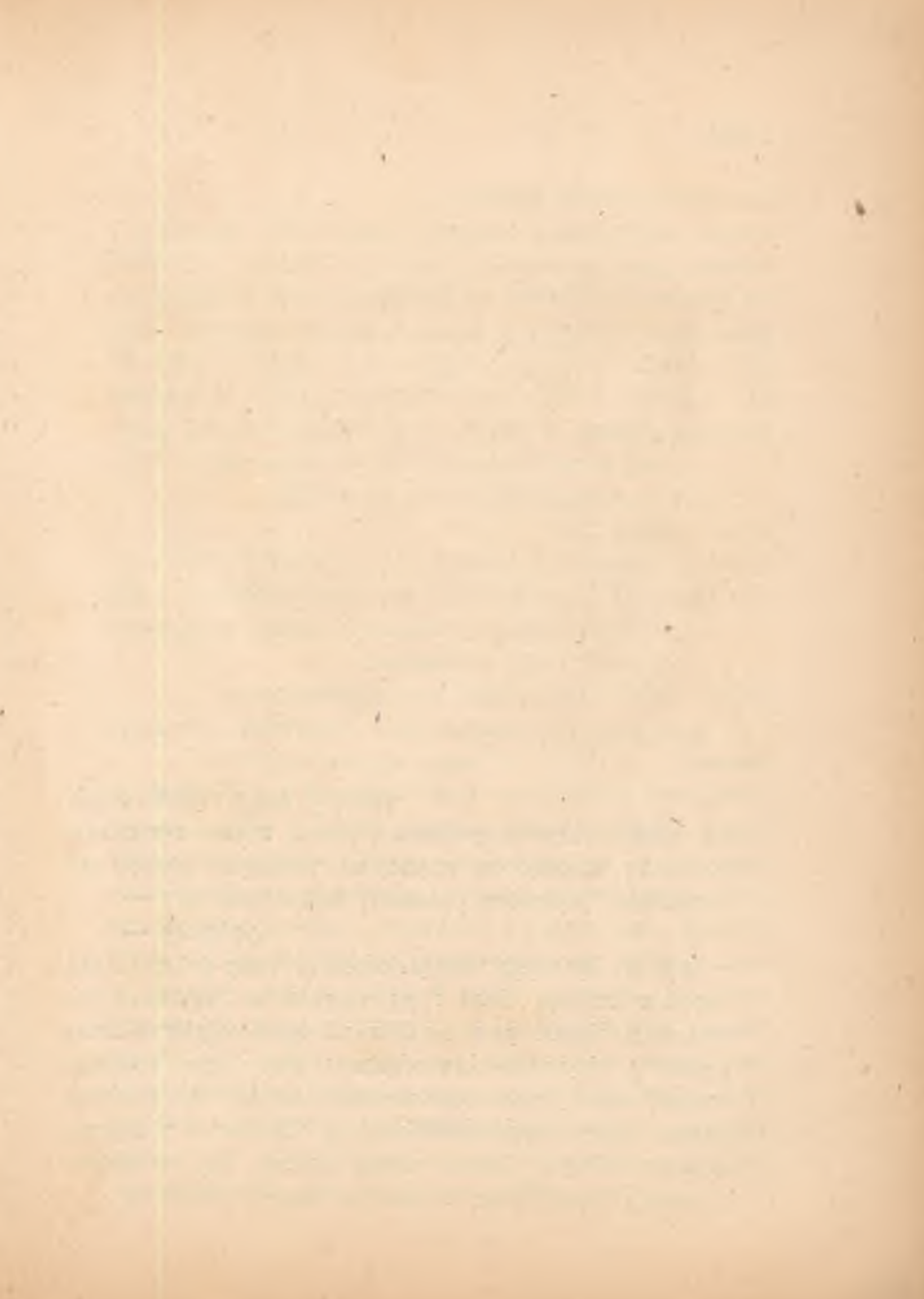
Ach, Basiuniu, pocóż ci to mówić?

— Nie wiem, którędy wrócimy do domu. Ale którędykolwiek wrócilibyśmy, pamiętaj że nie może być Polaka, któryby nie widział Gdyni, tak jak nie ma Polaka, któryby Gdyni nie kochał. Stamtąd szły statki, niosące w wietrze polską banderę, szły na morza, na oceany do dalekich ziem, do dalekich portów. Wiozły towary i ludzi. Inne okręty, wojenne, uczyły się sztuki wojowania, niszczenia, zabijania i patrzenia w oczy śmierci.

Te statki, które się ostały służą dalej Polsce i narodom. Te okręty które trwają, walczą dalej o Polskę i o narody. Łodzie podwodne, które najlepiej wiedzą, jak wygląda wnętrze mórz, które nieraz opierają się o dno morskie aby odpocząć i zagoić rany dokądkolwiek płynęłyby pod wodą, wypłyną raz otwarcie na grzbiet fal i przy białym słońcu, przy białym dniu, w powodzi flag, skierują się tam...

— Dokąd?

— Do owej małej latarenki morskiej, migającej po nocach światłem, na końcu falochronu. Przecież wszystkie nasze statki i wszystkie okręty mają na sobie napis: Port Gdynia.





O PRZEPOWIEDNIACH Z WOSKU

TEGO dnia Basia siedzi nie naprzeciw mnie, jak to zwykle bywało, ale obok mnie. To trzyma mnie za rękę, to wkłada mi rączkę pod ramię. I przytula się i garnie. A rzecz w tym jest zadziwiająca, że przecież Basia o niczym jeszcze nie wie. Jednakże dzisiaj mała nie dopomina się jakoś o bajki. Siedzi i milczy.

Milczę i ja. Przecież tysiąc i jeden dni byłoby za krótkich na to, ażeby opowiedzieć w jednym dniu jedną piękną bajkę o Polsce, o biało-czerwonej Polsce. Tu jeszcze tyle do powiedzenia, tyle do mówienia rzeczy radosnych i rzeczy żałobnych! Radosne są te, które mówią o naszej pracy, żałobne są te, które mówią o tym, jak wrogowie tę naszą pracę niszczą. Jaka szkoda, że są tylko biało-czarne

jaskółki. Ach, gdybyż były białe, i gdybyż były czarne. Wziąłbym z powietrza czarną jaskółkę i wysłał w głąb piekła, ażeby tam zaniósła oskarżenie. Wziąłbym białą jaskółkę i wypuściłbym w niebo, do tej zagrody niebieskiej, gdzie mieści się Polska. Nie pozwoliłbym, aby oczy Basi śledziły lot skrzydeł czarnej jaskółki, ale chciałbym wziąć ją, tę moją małą Basię, uwiązać do dziesięciu tysięcy białych jaskółek i niechby poleciała! Chciałbym to zrobić, ale nie mogę. Nie mogę też dłużej milczeć i muszę mówić.

— O przepowiedniach z wosku opowiem ci teraz, na samym końcu.

— Jak to... na samym końcu?

Nie słyszę tego pytania. To znaczy udaję, że nie słyszę. Zaczynam mówić bardzo prędko:

— Istnieje w Polsce, wśród najróżniejszych zwyczajów, jeden bardzo dziwny, Basiu, a mianowicie jest taki wieczór, kiedy się odlewa przepowiednie z wosku. Wygląda to tak: jest wieczór i duża izba, czy pokój, a w niej siedzą młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, dziewczęta i chłopcy. Śpiewają piosenki i leją wosk na wodę.

— Jak to?

— Jest jakieś naczynie z wodą i również jest naczynie z woskiem. Ten wosk stoi na ognisku czy też po prostu na najzwyczajniejszej blasze kuchennej. Rozgrzewa się ten wosk i staje się płynnym. Następnie należy ująć naczynie z roztopionym woskiem i jednym ruchem ręki wylać ten wosk na wodę. Wosk na wodzie stężeje natychmiast w najróżniejsze, naj-

bardziej przedziwne kształty, a woda zasyczy tylko cichutko. Potem bierze się ten stężały wosk do ręki i...

— Mów, mów proszę, dlaczego nie mówisz?

— Na stole stoi lampa, która rzuca światło na ścianę. Między lampę a ścianę należy postawić wosk i obracać go dookoła i patrzeć i oglądać, badać, czy też nie można by czegoś odczytać. Z cienia, który pada na ścianę...

— I znów nie mówisz...

— Podniosłem głowę.

— Dziewczęta snują wróżby, kiedy wyjdą za mąż, chłopcy pytają się wosku, czy ta, którą oni kochają, kocha ich również, starsi pytają się bardzo często, jak daleka jeszcze ich droga. Ale czasem wosk odpowiada nie na pytania, mówi coś sam od siebie, sam przepowiada z własnej woli.

Tak czułem się dnia tego niepewnie, że w ostatniej bajce nie powiedziałem Basi, kiedy to się odbywa i w jaki wieczór. Pospieszyłem sprostować:

— Wszystko to się odbywa w wigilię świętego Andrzeja. Te śpiewy, te rozmowy, woda stojąca w naczyniu i sycząca pod woskiem, wosk krzepnący w kształty, a następnie padający na ścianę cieniami najrozmaitszych przepowiedni. Był to rok 1938 i nastąpiła właśnie wigilia świętego Andrzeja. A wtedy w wielkiego miasta pojechałem do małego miasteczka, tam gdzie nie żyje ojciec mój i gdzie nie żyje moja matka, i tam odlewałem przepowiednie z wosku. Wyjąłem z wody dziwny kształt ulany z wosku a

krople opadały z mojej prawej ręki na podłogę. Lampa stała na stole i między ręką a lampą ustawiłem swój wosk...

— I co? I co? I co?

— I dłuższą chwilę, doprawdy długo, bardzo długo nie rozumiałem, nie widziałem, nie mogłem spostrzec, nie mogłem przeczytać wróżby, która widniała przed moimi oczyma...

— A jakaż to była wróżba?

— Powiem ci: na lampie, na wosku, na cieniu, na ścianie widniało — 1945.

— Co to miało znaczyć?

— Nie wiem, nie mogę wiedzieć, nikt nie wie co znaczą wróżby, jak długo one się nie spełnią...

* * *

Słyszałem twój wołający mnie krzyk poza bramą, którą zamknąłem za sobą, ponieważ musiałem odjechać. I dlatego, dla ciebie, Basiu o czarnych włosach, a o oczach jak dwa niebieskie migdały, napisałem tę książeczkę. —



SPIS RZECZY:

I.	O Bożym Drzewku	9
II.	O porach roku	17
III.	O sypaniu owsem, o Turoniu i o Śmigusie	25
IV.	O zawiązanych sercach dzwonów . . .	33
V.	O Emausie i Rękawce	41
VI.	O Koniku Zwierzynieckim, czyli Laj- koniku	51
VII.	O Nocy Świętojańskiej	61
VIII.	O Dożynkach	71
IX.	O sadach rumianych owocami	79
X.	O skokach przez skórę	89
XI.	O Babim Lecie	99
XII.	O burzy na morzu	107
XIII.	O przepowiedniach z wosku	117

Drukarnia OO. Franciszkanów w Jerozolimie

400678

N
KRA
B

N
KRAKOWIECKI (Anatol)
Bajki bialo czarne
400678 Katalog

2	MAY 1974	3	NOV
17	JUN 1974		
	4 JUL		
26	SEP		
2			



